



× PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEĆ ×

ROK 1924.

WARSZAWA, 1 LISTOPADA.

T R E Ś Ć N U M E R U :

Lacrimae rerum — *Helena Krukiewiczówna*. Tym, co spłonęły w ofierze — *C. Walewska*. Don Juan (dramat fantast.) — *José Zorillo*; przeł. *St. Miłaszewski*. Anatol France — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Zawód — *K. S.* Z kongresu wszechświatowego dla zwalczania handlu dziewczętami i dziećmi — *X.* Miasta i kobiety (wrażenia) — *Marja Kunciewiczowa*. Jarzębinowa ziemia (c. d.) — *Marja Dąbrowska*. Wypadek samochodowy (nowela) — *Paul Bourgot*; tłum. *M. D.* Drogami duszy (powieść) c. d. — *Helena Ceyringerówna*. Zaślubiny Marji Gonzagi, księżniczki Mantuańskiej z królem polskim Władysławem IV Wazą. Roku pańskiego 1645. — przełożyła *Leonja Knollówna*. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.) — *K. Bielańska*. Cel i zadania pedagogji (c. d.) — *Emilja Tecka*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet — *I. Fabrycowa*. Z teatrów — *P-a.* Fartuszki (—). Wskazówki praktyczne — *Pani Elżbieta*. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego) — przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu.” Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

L A C R I M A E R E R U M

MARJA KRUKIEWICZÓWNA

„Cóż jest w tej cichej śmierci okropnego?
Czemu lękamy się tej ziemi, co nam czoło plami,
I snu z założonemi na piersiach rękami...
Śmierć...

„Mazepa” Słowackiego.

Smutne, mgłą jesieni spowite dni
Zaduszne smutnym się kładą cieniem
na sercu każdego. Jak białe krople
dżdżu, spadają wolno drobne perełki
naszych łez i smutkiem poją duszę.
Ileż to już takich dni zadusznych mi-
nęło, ileż serc szlochało szczerze,
a miary ludzkich cierpień nie dopeł-
niło się wciąż jeszcze, gdy co rok
nowe łzy i nowe mogiły. „Cóż jest
w tej śmierci okropnego”? Dlaczego
się jej lękamy? Wszak nieodmienna
wszystkim doła w obliczu jej ponure-
go majestatu. Smutne to żniwo,
z którego Persefona rok rocznie za-

biera ofiarę, zamyka tyle trosk i cier-
pień naszych, że nie należałoby
się smucić. Pozostaje tu po nas
wspomnienie, co lekką mgłą zapomnie-
nia otacza serca najbliższych — szczęś-
liwy, o kim mogą zapomnieć! Odcho-
dząc z tego padołu, zabrał widocznie
wraz z sobą smutek, co im tu żywym
na nic, a pozostawił jasność i pogo-
dną radość. Tęsknota, jak mówi Sło-
wacki, „każe nam [iść po takiego
ducha w duchów krainę” „Bo to jest
wieszczka najjaśniejsza chwała, że w
posąg mieni nawet pożegnanie”.

Myśl błądzi wśród grobów i szu-
ka tego, co tak daleko od swoich,
choć tak ich sercom bliski. Malutki
cmentarzyk na Montmartre w Paryżu.
W oczach miga znany dobrze, skromny,
biały krzyż z plakiętą twórcy „Anhel-
lego”. Tak niedawno jeszcze tam

stałam w smutnym zamyśleniu, prze-
suwając różaniec wspomnień naszych
„największych” fatalizmem dziwnym
miotanych po świecie. Sam jeden
wśród obcych po śmierci jak i za ży-
cia. Czyżby zapomniany? Świeże
kwiaty z dnia niemal na dzień w kor-
nej tu składane dani świadczą, że ktoś
z „nieobojętnych” tu był. Małe, ka-
mienne wianuszki z napisem „pour
la patrie” przypominają, że o wiekim
naszym poecie pamiętają jak o sza-
rym żołnierzu, któremu tysiące serc
i rąk sypie takie beznadziejnie smut-
ne kwiaty.

„Jeżeli kiedy w tej mojej krainie,
Gdzie po dolinach moja łkwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,
Gdzie konwaliją woniące lewady
Biegna na skały, pod chaty i sady,

Jeśli tam będziesz, duszo mego łona,
Choćby z promieni do ciała wrócona:
To nie zapomnisz tej mojej tęsknoty,
Która tam stoi jak archanioł złoty,
A czasem miasto jak orzeł obleci,
I znów na skałach spoczywa i świeci.

Powietrze lżejsze, które cię uzdrowi,
Ląłem z mej piersi... mojemu krajowi...

Czemuż ten kraj, taki mu do
dzisiaj daleki, taki nieprzejednany! Tri-
umfy, blaski, sny i nadzieje i ta bez-
nadziejna tęsknota, co jak wiotki
bluszcz Jego grobu oplata nam duszę.
Lecz nietylko beznadziejną tęsknotę
wzięliśmy w spadku. Prócz łez da-
wnych i dawnych nadziei „chciał”
rzeczy „uczynić szalone” chciał „nami
założyć narodów początek”, dał nam
swego wielkiego ducha, od którego
przrasta serca całemu narodowi,
a sam „prosi o mały ziemi rąbek, gdzie
się w deskowej zawrze muszli”.

Czyżby takiego małego kącika
ziemi w Polsce dla niego nie było?
A przecież temu wielkiemu królowi
pieśni należy się więcej niż mały ką-
cik ziemi.

Do „Panteonu” wołają głosy, czas,
by już wśród nas pozostał i spoczął
obok największych.

Powróćmy do mogił. Woła nas
ogromny a cichy, Pére Lachaise.
Oczy nasze, błędząc u wejścia, czyta-
ją smutny napis:

Mes chers amis, quand je mourrai
Plantez un saule au cimetière
J'aime son feuillage éploré
La paleurs m'en est douce et chère,
Et son ombre sera légère
A la terre où je dormirai.”

Prośbę poety spełniono. I pięści
swemi listkami, wierzba—dziewczyną,
smutnego kochanka, okrywa i tuli jak
drobne, przez niego opiewane, białe dło-
nie, na które boleść składa swój po-
całunek. Tu pod tę wierzbę przycho-
dzi w jesienną, mroźną noc bezgra-
nicznie samotna — pokrewna dusza
poety — muzyka wielkiego naszego

Szopena. Grób zarosły zielenią smut-
ne robi wrażenie. Prowadzą nas do
tej mogiły i objaśniają lapidarnie:
„Frédéric Chopin notre plus grand
musicien”. Nikt tu nie wspomina o du-
szy polskiej, rozdręganey i płaczącej
w polskim mazurku, czy nokturnie.
Mało też kto zauważy pleśnią zasnutą
napis: Frédéric Chopin.... né—d'une po-
lonaise.

Tylko tyle ma on mówić o duszy
polskiej, zrodzonej w ciężkich dniach
niewoli i bezmocy, o duszy pełnej
naszego smutku i naszej wiary i na-
szej miłości. Dlaczegoż nie upomina-
my się o skarb niemal najdroższy?
o polską duszę, zakletą i wcieloną
w melodię, rytm i sentyment naro-
dowy?

Dość już gościny u obcych, choć-
by nam bliskich, w naszych klejno-
tach rodzinnych tej perły brakować
nie może. W dniu wspomnień żalos-
nych, gdy tyle łez operli mogiły na-
szych kochanych, gdy tyle oczu da-
remnie błędzić musi szukając grobów
„nieznanych”, bo w zawierusze wo-
jennej zatraconych, niechaj i do tej
samotniczej, wygnańczej a królew-
skiej mogiły doleć echa słodkiego,
polskiego słowa, aby prochom
tam złożonym lżejszą była obca
ziemia.

Na Pére Lachaise odnaleźć mo-
żna niejedną jeszcze mogiłę drogą
sercu naszemu. Ktoby się tego spo-
dziewał, że tą samą grudą ziemi
przykryci, leżą przy sobie Molière
i Lafontaine, a w ich najbliższym
towarzystwie... Klementyna z Tańskich
Hoffmanowa. Uważnego przechodnia
zatrzyma polskie słowo, wyryte na
pomniku dziwnej brzydoty. Takiego
opuszczenia, niedbalstwa, dziwnego
zapomnienia nie widziałam nigdzie
więcej.

Autorka, której książki i słowa
mają dziś wartość cennego, bo złotym

pyłem obsypanego klejnotu „zasłużyła
się nam dobrze” i zapomnieć o niej
nie wolno, choćby to jedno mając na
względzie, że będąc aniołem-stróżem
naszych prababek, nauczyła je prze-
kuwać myśli francuskie na czyny
i cnoty polskie. Nauczyła je kochać
skromne progi domowe, nauczyła
spełniania obowiązku w ciasnym kole
szarzyzny życia, tę „szarzyznę życia”
wyposażyła w takie bogactwa, że od-
rzuciwszy francuską perukę, modny,
a sztuczny afekt i plainte'y—nieśmiało
jeszcze, ale samodzielnie weszła w
świat polska „nowa kobieta”. „Być
żoną i matką jest zapewne głównem
przeznaczeniem kobiety; ale prócz
tych węzłów są jeszcze inne: Każda
może być córką, siostrą, przyjaciółką,
obywatelką, a kiedy tylko niewiasta
ma kogo kochać i może być użytecz-
ną, już jest szczęśliwą” (Hoffmanowa
„Pamiętka po Dobrej Matce”).

Zadumanym nad ukochanemi mo-
giłami kobietom polskim, niechaj te
słowa przypomną ścieżkę obowiązku,
niechaj im szepczą długo i wyraźnie,
że tu, na tym padole łez są smutne,
beznadziejnie smutne, niewidzące
oczy szarego żołnierza, że owi „naj-
winniejsi” w swej służbie są może w tej
chwili bezradnemi, dużemi dziećmi,
którym ona dłoń swoją dobrą podać
powinna. Czy można nie widzieć ta-
kich oczu? i takich wyciągniętych ku
nam ramion?

Wolniuśko i rytmicznie dzwonią
krople łez spadające, jak zwiedły, ze-
schły kwiat na małe, drobne, białe
dłonie, w niemej splecione skardze,
potem coś jak leciutki obłok rumień-
ca — życia rozświetla zgasłe pol-
liczki, a usta szepcą „Bądź wola
Twoja”.

I staje z alabastru posąg przez-
roczysty kobiety, o której

„Pomyślał Bóg, gdy stworzył słońce
I z myśli świata ją stworzył — a ona
Dała początek tęczom i kolorom,
Które ze słońca duszy mają duszę...”

(Słowacki)



TYM, CO SPŁONEŁY W OFIERZE

W DNIU ZADUSZNYM WSPOMNIENIE

ROK 1914

Cieniom Siostry poświęcam.

Wojna! Dreszcz wstrząsnął ziemią. A w sercu polskiem brzask, jak po długiej strasznej nocy.

Będzie Polska!

Wąską ścieżką między polaną szła w ekstatycznym zapamiętaniu. Coś ją gnało do kościółka tam, na górze. Przemozna żąda skupienia się w modlitwie i rzucenia siebie Bogu w kornem oddaniu.

Modliła się rzadko i zawsze tylko w sprawie najbliższych swoich — męża i dzieci. Dziś — nie wiedziała, o co prosić będzie, ale szła pod jakimś niezłomnym wewnętrznym nakazem, jak idzie żołnierz pod gradą kul.

Ścieżka urwała się na szerokim gościńcu, po jego drugiej stronie były łąki, a nad łąkami wzgórze, na wzgórzu biały, niewielki kościół z gotycką wieżyczką. Otwarta brama. Wewnątrz światła i ludzie — o porze niezwyklej. Ksiądz i paru kleryków przed ołtarzem i chłopcy w białych komżach z dzwonekami. Wielkie nabożeństwo, zakupione przez gości kąpielowych za Polskę...

Biły serca. Chyliły się głowy w takt dzwonek. A przez niebieskie witraże sączył się brzask, jak dobra nadzieja po długiej strasznej nocy...

Ukłęka z boku, wpatrzona w ukrzyżowanego Chrystusa. Prosiła Boga, aby pozwolił jej zobaczyć męża i dzieci, od których odcięło ją nieubłagane okrucieństwo wojny. Prosiła o szczęście jedynej córki, która była z nią, a która mogła nie zobaczyć już nigdy ogniska rodzinnego.

Łzy spływały z modrych jej oczów na splecione w modlitwie ręce.

Wtem wyprężyła się, zeszywniała, jakby obcą siłą oderwana od skamlania o swoje osobiste dobro. Rozwarła szeroko i nagle z łez obeschle jej oczy wpatrzyły się w gwoździe ran Chrystusa, który cierpiał za wszystkich.

Uderzyły dzwoneki na podniesienie. Ludzie padli na kolana. Jakaś kobieta rzuciła się krzyżem na ziemię.

Ona nie pochyliła głowy, wpatrzona w rany przygwożdżonego Chrystusa. Piersi jej przeżyło jakieś nieznanne, obce uczucie, coś, co — wskroś dymy kadzideł — szło na nią z brzasku szafirowych witraży — przepiętęny nakaz wielkiego jutra.

Jeszcze w kątach serca tłukła się prośba o powrót do swoich, o szczęście dziecka, odciętego od ogniska rodzinnego, — gdy nagle — jakby przemocą rzucone, a wibracją

całego jestestwa, wszystkie skupionej woli powtarzane padło na usta błaganie:

— Ale — jeżeli Ci potrzebne, Boże, moje życie, moje szczęście, mój spokój, to weź je, tylko — niech wstanie Polska!..

I naraz ucichło w niej wszystko. Jakby stało się tu, co stać się musiało. Jakby ofiara, którą złożyła, była konieczną, nieodwołalnie żadaną, jak gdyby po to przyszła na świat, aby ją dziś dopełnić.

Ludzie wstali na ostatnią Ewangelię. Po nabożeństwie utworzył się pochód, który śpiewał Rotę.

Szła za wszystkimi, ale nie mogła śpiewać. W skupieniu, jakie nią owładnęło, widziała czarną noc w sobie, a jasne boże światło nad sobą. Noc swego własnego przeznaczenia, światło swojej spełnionej ofiary, cud ślubu dokonanego.

Dała z siebie, co dać mogła. Rzuciła na całopalenie dni, miłością „swoich“ promienne. Nic innego nie miała. Ramiona jej i ręce za słabe były, żeby udźwignąć oreż i ponieść go w bój.

Modlitwa wzbiła się wysoko. Ofiara została przyjęta. Wkrótce potem przyszła nieprzewidziana choroba i zabrała życie, które oddało się za Polskę.

To było w 1914 r.

Odtąd szły ofiary za ofiarą i nie wygasiał ich płomień.

ROK 1920

Pani A. L. K. poświęcam.

Zasnęły się drzwi za nim. Drżała jeszcze lekko niebieska kotara i tłukł się po kątach krzyk:

— Matko, nie zabijaj mnie!..

I kołysały się w powietrzu, jak dwie, krepą przysłonięte latarnie, gwiazdziste jego oczy — pełne płomieni, pełne zaklęcia, gdy włókł się u kolan matki, błagając, żeby go nie wstrzymywała od pójścia na wojnę, potem — nagle zduszone, kiedy usłyszał:

— Chory jesteś... Wiesz, do kogo zabrania silnych wrażeń... Więcej dla Polski zrobisz, zostając. Tyle pracy... Jeżeli kochasz matkę...

Zgasły wszystkie promienie wielkich, czarnych oczów. Zbielały usta. Zasnuła się mgłą cudna, chłopięca twarzyczka.

Milczeli oboje. Ona — jak posąg — w tragicznej skamieniałości rąk,

stóp, głowy, w bezruchu oczów, nieświadomie w jakiś punkt na ścianie utkwionych, w bezładzie mózgu, który nieludzkim ciężarem zwiślał pod czaszką i tłoczył, śmiertelnie tłoczył skronie do bólu, co nie miał nazwy. On — u nóg jej powalony — śliczne, jakby nie z tego świata zjawisko, któremu los dał wszystko: piękno ciała, piękno duszy, geniusz umysłu, ale — od kołyski — okaleczył serce.

Czarowało chłopię świat, było ukochaniem braci i matki, ale — jak czerw w jądrze pięknego owocu — przyczajała się śmierć w nim, w chorrem sercu, które nie wiedziało, że nagle — niby nić zerwana — może pęknąć.

I z tem biednem chorem sercem rwał się w bój...

Wszystko poświęcić, tylko nie jego... Dwóch starszych już poszło...

Milczeli oboje. Wtem zerwał się. — Idę do zapisu. Matko nie zabijaj mnie!..

Wybiegł. Drżała jeszcze za nim niebieska kotara. Kołysały się w powietrzu gwiazdziste jego oczy, jak dwie, krepą przysłonięte latarnie.

W kilka godzin później telefon — znajomego pułkownika.

— Syn pani zapisał się. Musimy mieć jej pozwolenie. Nieletni i... wada serca. Komisja dyskwalifikuje. Ale on błaga.. Od pani zależy. Można zabronić...

Wiedziała, że to przyjdzie i wiedziała, że odpowie:

— Ja... synowi mojemu... nie... zabraniam...

Tak postanowiła. Tak... w bólu i mece... ślubowała.

Dla Polski...

Ofiara najcięższa.

Telefon zamilkł. Przeszła do drugiego pokoju i cisnęła się na łóżko, bo nie mogły jej utrzymać zmartwiałe stopy. Zdawało się — skończona męka. Nic nie czuła. Tylko ten straszny ciężar mózgu, który rozsadał skronie — ten lód w piersiach — ten bezwład w całej sobie — to śmiertelne omdlewanie — to zapadanie się w jakąś potworną nicość, dokąd już nigdy, nigdy nie przyjdzie światło...

Ofiara najcięższa, po której tylko śmierć... Ale — nie ona umrze...

* * *

Pod wsią mazurską, pędząc z maleńkim swoim oddziałem na wywiady, zginęło chłopię — podporucznik — w boju z patrolem kozackim. Usypały mu mogiłę kobiety wiejskie, rzuciły kwiaty i płakały, rzewnie płakały, modląc się na klęczkach.

A matce nie pękło serce, gdy wniesiono go, obmytego z piasków mogiłnych, z twarzą białą i uśmiechniętą, jak we śnie szczęścia ustami.

To było w 1920 r. Zdawało się—koniec ofiarom...

* * *

ROK 1923

Pani O. S. P.—Siostrze Felicjance poświęcam.

Kłęcząc, z głową opartą na rękach splecionych do modlitwy, rozpamiętywała życie swoje.

Po raz ostatni.

Jutro już zamkną się wierzeje ziemskiej przeszłości. Nie wolno będzie myśleć, nie wolno pamiętać...

Ciężko na ciemno-szafirowe oczy opadły powieki. Długie, czarne rzęsy wcisnęły się pod palce. A wewnętrzny wzrok rzucał obrazy na ekran duszy, od ostatnich, przeżytych wstecz ku najpierwszym — radości, śmiechu pełnym obrazom dzieciństwa. Ale wracały ciągle te niedawne, najsilniej zaryte. Myśl nie mogła oderwać się od nich.

Wojna! Huczały w uszach pękające granaty. Grzmiał huk boju, a po nad nim głos—jej własny—twardy, ostry komendy oficera Legji.

Nie wierzyła dziś, że mogła go mieć w sobie. Dziś — po latach ciszy i skupienia — taka w sobie zwarła, tak w odruchach woli opanowana, obca wszystkiemu, co rwało się w świat fizycznej siły...

Nie ona — chyba ktoś poza nią prowadził w grad kul i szrapneli oddział polskich amazonek. Nie ona — ktoś poza nią szalał w paszczy ognia, pijany krwią i tą jedyną żądzą — bić, bić wroga, patrzeć, jak wali się z konia, czuć pod ostrzem bagnetu jego ciało...

W nozdrza jej uderzył nagle zapach prochu, a z nim — ostra, gryząca podnieta, która zabija lęk i pręży piersi szaleństwem.

Poruszyła się na twardym klęczniku, zwiesiła głowę nisko, zrobiła znak krzyża i zwartą dłonią uderzyła w pierś ze skrucą.

Za żywo pracowała pamięć. Nie wolno.

Ale obrazy przesuwają się jeden po drugim i rwały krzykiem na usta.

Ten twardy bój pod Persenkówką, albo te nad Nidą, albo ten pod Warszawą, Wilnem, na Górnym Śląsku...

Dziewięć odznaczeń. Krzyż walecznych. Krzyż wirtuti.

Raz ta ciężka rana. Długie miesiącę w szpitalu, a potem znowu — przy pierwszej pobudce w bój! — Tylko już po każdym marszu, po każdej walce krwotok. Rana czuwała.

Skończyły się walki. Wróg odparty. Polska wyzwolona. Powinna była być radość i szczęście.

W odmęcie wstającej z grobu ojczyzny, w chaosie krzyżujących się poczynań, z których jedne nieraz przeczyły drugim i zabijały siebie wzajemnie—w bezładzie pojęć, wrzawie stronnictw, słabej woli rządu ogarniał ją lęk. Zdawało się, że napowrót w otwarty grób leci wywalczona Polska.

Jak ją zbawić, jak ocalić? — Co dać z siebie jeszcze? — Jaką ponieść ofiarę?...

Nie umiała żyć w trwodze o Nią, świętą, wyzwoloną. Nie rozumiała powojennej anarchji. Jak pracować, do kogo zwrócić się, żeby Ją ratować?...

I oto kiedyś spłynęło objawienie. Prośbą do Boga i dobrymi uczynkami okupi Jej spokój i wewnętrzne skrzepnięcie, jak krwią rany swojej odkupiła ją od wroga.

Zastukała do wrót klasztoru i została przyjęta. Po latach próby dziś—za parę godzin—oblóczy się.

Ostatni raz pracuje pamięć. Ostatni raz—poprzez ekran duszy—przemykają ziemskie obrazy.

Legjonistko polska, ofiara twoja będzie przyjęta, jak ofiara tych porąbanych szablami, zbitych nahajkami, którzy nie przetrzymali zbrodni bolszewickich.

Legjonistko polska, bije od istoty twardego założenia twojej ofiary, od czystych postanowień serca, które ją poniosło, od gorących ukochań, które ją wywołały, zbawczy promień jutra.

Wysiłaś się w czynie, który dalej nie mógł już podolać ziemskim potrzebom, nie mógł zmagać się z tragizmem przyczajonych zewsząd zasadzek. Spaliła się żagiew twoja tu, wśród nas żyjących. Ale—umarła dla fizycznych zmagania—ducheni czystej, kornej miłości dopełniasz miary poświęceń swoich.

C. Walewska

JOSÉ ZORRILLA

DON JUAN

(Dramat fantastyczny)

Przełożył St. MIŁASZEWSKI

(Teatr Narodowy wystawi wkrótce słynny utwór znakomitego romantyka hiszpańskiego, Zorrilli, napisany w r. 1844 i grywany corocznie w Madrycie w okresie Zaduszek.)

Drukujemy fragment VI aktu Don Juana. Scena przedstawia salę biesiadną. Don Juan oczekuje na przybycie posągu Komandora, którego zabił i którego córkę, umarłą z miłości, miał niegdyś poślubić. Razem z Don Juanem uczują: kapitan Centellas i Avellaneda, oraz paż Ciutti).

D. JUAN. A więc po skończonej wojnie
W nagrodę za czyny dziarskie
Doznałem łaski cesarskiej,
Łupem obdarzony hojnie.
Taka jest moja historia:
Z rozkazu cesarskiej mości
Zażywam wszelkiej wolności, —
— „Dla Don Juana Tenorja
Hiszpanja otworem stoi! —
Rzekł pan, — i otom w Sewilli.

CENT. (wskazując na komnatę)
Przepych, blask!

D. JUAN. Blask tym przystoi,
Ktorzy się w blaskach zrodzili.

CENT. (pijąc) Za powrót twój!

D. JUAN. Z duszy całej
Dziękuję.

CENT. Skąd masz ten wspaniały
Pałac, zaraz po przyjeździe?

D. JUAN. Dzięki mej szczęśliwej gwieździe,
Za cenę bajecznie małą
Zakupić mi się udało
Dom z piwnicą, jak się patrzy.
Zmarnował go pewien głupiec,
Dla kobiety, w długi wpadłszy.

CENT. I cóż?

D. JUAN. Jak zwykle bankrutę,
Umarł, z majątku wyzuty.
A sąd, widząc, że jest kupiec,
Co złotem za wszystko płaci,
Przyśpieszył sprzedaż i basta,
Chociaż na tem grubo traci
Tłum lichwiarzy.

CENT. Cóż niewiasta?

D. JUAN. Z jakimś skrybą się zwąchała.

CENT. Młoda i ładna?

D. JUAN. Wspaniała!

CENT. Żal, że w spisie ruchomości
Niema też owej jejmości!

D. JUAN. Bóg zapłać! Nie dla mnie wdzięki
Wyszarzanej kochanicy,
Co idzie z ręki do ręki,
Na wzór karczemnej szklenicy.
— Dobra piwnica, dom miły,
To przyjaźni fundamenty.
Tej właśnie maksymy świętej
Piastunki mię nauczyły.
Bywajcie mi jak najczęściej!

CENT. Wiwat!

AVELLANEDA Wiwat! Niech się szczęście
Miłemu gospodarzowi!

D. JUAN. Ciutti, do mnie!

CIUTTI

Co pan każe?

- D. JUAN. Lej wino Komandorowi!
(wskazuje puste nakrycie)
- CENT. Więc przy swym szalonym żarcie
Mimo wszystko trwasz uparcie?
- D. JUAN. Tak jest. I wszystkim pokażę,
Iż dbam nawet i o tych,
Co przyjść nie mogli.
- CENT. Na sztych
Wystawiasz własny rozsądek!
- D. JUAN. Każę tradycja przeszłości
I gościnności obrządek,
Ażeby dla wszystkich gości
Były na stole nakrycia,
Nim się zakończy wieczerzę. —
Komandor zawiódł nas. Szczerze
Żałuję... Bywał za życia
Uparty: pewno zły humor
Wziął na świat tamten.
- CENT. Na umor
Pić mogą, lecz nie chcę wcale
O zmarłych gadać... Ku chwale
Komandora kielich wznoszę!
- D. JUAN. Zgodal
- AVELLANEDA Pijmy!
- CENT. I niech Bóg
Da mu glorię wiekiustą.
- D. JUAN. I ja, chociaż w żadne glorie,
Prócz naszych ziemskich nia wierzę,
Ani w niebiańskie historje,
Z wami w puhary uderzę:
Na twoją cześć, Komandorze!
(Słychać w oddali mocne stuknięcie)
- Ktoś stukal?
- CIUTTI Tak.
- D. JUAN. Zobacz kto to?
- CIUTTI (wygląda oknem) Nikogo niema!
- CENT. To może
Jakiś żartowniś?
- AVELLANEDA Nierzadko
Ktoś we drzwi palnie kołatką
I w nogi.
- CENT. Z miejską hołotą
Bieda, gdy sobie podchmieli.
- D. JUAN. Zamknij okno, podaj winal
(Stukanie bliżej)
- Słyszysz?
- CIUTTI Tak!
- D. JUAN. Znowu zaczyna!
(Ciutti i Paź biegną do okna)
- CIUTTI Nikogośmy nie widzieli
Pod bramą i na ulicy.
- D. JUAN. Temu, kto tę sztuczkę płał,
Pał, mój chłopcze, w łeb z króciocy,
Choćby był z tamtego świata!
Znow?
- CIUTTI O Boże!
- AVELLANEDA Co stę stało?
- CIUTTI Panie, strach, bo nie we wrota,
Ale na schodach stukają!...
- AVELLANEDA Co to znaczy?
- CIUTTI Wszyscy święci,
Już wewnątrz domu łomota!
- D. JUAN. Broń w garść i sprawdź, kto się kręci
Po domu, Co? Strach was bierze?
Już stukal w antykamerze...
A teraz obok w komnacie...
Już wiem, na mego patrona!
Komedję wobec mnie gracie,
To rzecz przez was ułożona,
Bo wiecie, że nieboszczyka
Zaprosił.
- AVELLANEDA Co za myśl dzika!
- CENT. Na honor, nie!
- D. JUAN. Hultaj w znowie
Z wami te psikusy broi,
Lecz za to głową odpowie!
- CENT. Znow puka!
- CIUTTI Ktoś się przekrada
Tam, przez salę.
- D. JUAN. Nie dziwota,
Że przy tak dzielnej pomocy
Frant tu się włóczy, jak złodziej,
Chcąc straszyć ludzi po nocy.
Wieczerzać mi nie przeszkodzi...
(zamyka drzwi w głębi)
Zamknięte drzwi dla figlarza.
Jeżeli ma tęgie bary,
Niech drzwi z zawiasów wyważa.
Lecz za udawanie mary
Pośle go prosto do nieba!
- CENT. Do kroćset! Tak zrobić trzeba!
- D. JUAN. Jednak drżałeś!
- CENT. Kilka mrówek
Po krzyżu mi wędrowało,
Zanim pojałem rzecz całą.
- D. JUAN. Nie szukaj próżnych wymówek:
Każdy z was w tem ręce maczał!
- CENT. Nie, nie!
- D. JUAN. To są sprawy wasze.
Lecz, gdy figlarza partacza
Złapię, to stracha nastraszę!
— Siądźmy! Dla was, kapitanie,
Kariniena?
- CENT. Wonny płyn
Z moich stron.
- D. JUAN. Sewilli syn
Woli Xeres?
- AVELLANEDA Don Juanie
Jesteś wzorem uprzejmości.
- D. JUAN. Pijmy!
- CENT. Na które z tych win
Upadnie wybór waszmości?
- D. JUAN. Na obadwa: — Zdrowie gości!
(mocne stukanie do drzwi w głębi)
- Nudzi mię psota hultaja...
Obaczym, co dalej pocnie,
Teraz u drzwi się zaczaja,
(do Ciuttiego i Pazi, którzy drżą)
- Ogłupieliście widocznie!
Na drzwi się gapią, bałwany!
W tej chwili po butelki!
(Ciutti i Paź wychodzą)
- Wiecie? Żart posuńmy dalej, —
Zażądamy bagatelki:
Niech wejdzie duch do tej sali
Przez drzwi zamknięte, lub ściany!
Zaraz przepłoszymy ptaszka...
- CENT. Zgoda, — pomysł niesłychany!
(gwałtowne stukanie)
- D. JUAN. Hej, duchu! — Poco mospanie,
Ten hałas, tumult, stukanie?—
Dla duchów drzwi i mur fraszka;
Prosimy do nas przez ściany!
(Posąg DON GOZALA — Komandora, prze-
chodzi przez zamknięte drzwi bez hałasu)
- SCENA 2.
- CENT. Jezul (mdleje)
- AVELLANEDA Boże! (mdleje)
- D. JUAN. Wszelki duch!...
On... twarz jego... jego ruch!
- KOMANDOR Żem gość nieoczekiwany,
Widzę.
- D. JUAN. Kłamstwo! Kielich masz
I miejsce... Siadaj do stoła!
Nie zbladnie przed tobą twarz,
Choćbyś Gonzalem Ulloa
Był...
- KOMANDOR Wątpisz?
- D. JUAN. Nie wiem.
- KOMANDOR. Błuznierca!
Tknij, a w grzeszej ręce twojej
Poczujesz marmur mej zbroi.
- D. JUAN. Nie choć, choć mi nie brak serca!
Siądź! — Uczta dotąd czekała,
Lecz jeśli żyw jesteś, — pomnij:—
Wyjdiesz stąd duchem bez ciała!
(Do Centellasa i Awellanedy)
- Wstańcie!
- KOMANDOR Bada nieprzytomni,
Dopóki ja stąd nie ruszę.
Opatrzność, chcąc twoją duszę
Grzeszną zbawić, rozkazała,
Ażeby o mem zjawieniu
Żywa dusza nie wiedziała:
W twoich zmysłach i sumieniu
Masz dowód prawdy jedyny.—
Przez niezbadane wyroki
Świątokradzkie zaprosiny
Przyjąłem, by rozwiać mroki
W twojem sercu i umyśle.
Z woli Boga ci obwieszczę,
Że poza ziemskim żywotem
I żywot wieczny jest jeszcze!
Wiedz, są odmierzone ściśle
Godziny twoje na ziemi:—
O świecie umrzesz, wiedz o tem!
— Choć mię oczyma własnymi
Widziałeś, — myślisz, że mara,
Więc ostrzegam jeszcze raz:—
Już się dopełniła miara
Twego życia. Póki czas
Czyn pokutę, módl się w skrusze,
Sumienie wyzwól od zmas,
Bo dziś rano oddasz duszę. —
Pamiętaj też: rewizyta
Mnie się należy. Jak tuszę,
Nie zawiedzie cię odwaga.
Przyjdiesz?
- D. JUAN. Tak, lecz rzecz wymaga
Zbadania, czy ty masz duszę
Już bez śmiertelnego ciała.
(chwytając pistolety)

KOMANDOR Szaleje twoja zuchwała
Buta bluźniercza i dzika: —
Mur i najgrubsze wierzeje
Mój duch z łatwością przenika.
Patrz.

(*Posąg D. Gonzala wychodzi przez mur*)

SCENA 3.

D. JUAN Przebóg! Cóż to się z nim dzieje?
Przez drzwi i ściany przesiąka
Cicho, jak wilgoć przez mury!
Rozum w domysłach się błaka...
Rzekł: — „Połóż dłoń na marmury
Posągu mego!” — więc zmienia
Nawet głaz substancję swoją?!
Absurd, delirjum, złudzenia!...
Mamidła w oczach się roją...
Może struł wino biekotem
Pan dawny, z domu wyzuty?
— Choćby to był duch, nic potem! —
Za krótki czas do pokuty
Z łaski niebieskiej mi dano...
Bóg byłby pamiętał o tem,
Gdybym miał umrzeć dziś rano...
„Do końca będę przy tobie
Zanim opuścisz świat ten!”
Mówiła Inez na grobie. —
Jej niema... To wszystko sen!

(*Cień Doni Inez zjawia się przez ścianę*)

SCENA 4.

D. INEZ Jestem!

D. JUAN Boże!

D. INEZ Zważ zlecenia
Komandora. — Ducha moc
Zbierz i odwiedź go w tę noc,
Jeżeli pragniesz zbawienia.
Pamiętaj! Pamiętaj! — w ciągu
Tej nocy, — za krótką chwilę, —
Pod strażą mego posągu
Spoczniemy w jednej mogile.
(*Cień D. Inezy znika*).

SCENA 5.

D. JUAN. Stój, Inez! Jeśliś ze szczerzej
Miłości do mnie przybyła,
Spraw, by prawdę od chimery

Dusza wreszcie odróżniła!
Daj mi jakiś dowód stały.
Jakowyś znak nieodparty,
Iż tu nie widma szalały,
Mary gorączki zażartej.
Niech ducha twój duch ukoi,
Nim zasnę w mogile twojej!
Lecz, przebóg! To drwiny, żarty!...
Bez przerwy padam oiiara
Błazeńskiej arlekinady...
Na błazna mnie wystrychnęli,
Abym zaś nie wykrył zdrady
Z ich lic — niby — to pomdleli.
Dosyć mam tej krotchwilii!

(*Potrząsa Centellasa i Avellaneda, którzy się budzą*).

AVELLANEDA. Co to?

CENT. Kto tu jest przy stole?

D. JUAN. Panowie; W otwarte karty
Grajmy: Wyście urządzili
Hecę, by mnie wywieść w pole
W moim domu. — Wolne żarty,
Lecz dość! Dłużej nie pozwolę!

CENT. Nie rozumiem!

AVELLAN. Ja tem mniej!

D. JUAN. Nie widzieliście nic a nic?

CENT. Przedtem nam powiedziec chciej,
Co tu było do widzenia?

D. JUAN. Nie, to bezczelność bez granic!

CENT. Bacz na słowa!

D. JUAN. Więc z kamienia
Postacie dla mnie ożyły,
By wróżyć mi kres istnienia?
Mówcie! Mówcie, na Bóg miły!

CENT. Teraz wiem, co masz na myśli!

D. JUAN. Myślę, że stroicie drwiny
Ze mnie, i potoście przyszli!

CENT. Gdy rzecz przedstawiasz tym
[kszałtem.
Wiedz, że ja ciebie o kpiny
Z gości, zaproszonych gwałtem,
Posądzam.

D. JUAN. Mnie? To zniewaga!

CENT. Nie, to tylko prawda naga,
Bo ja mam sumienie czyste.

Rzucasz podejrzenia mgliste.
O posągach prawisz baśnie,
Nie mówiąc, dlaczego właśnie
Nas dwóch przed chwilą zemdlało,
Choć piliśmy bardzo mało...

D. JUAN. Zarzucasz mi...

CENT. Ze szalejem
Zaprawiłeś nam napoje,
By drwić, gdy pałki zalejem.

D. JUAN. Centellas!

CENT. To sztuczki twoje!
Chełpiąc się z wielkiego męstwa,
Zaprosiłeś nieboszczyka...
Dziś o cudach czarnoksiężstwa,
O głosie, co w grób przenika
Bajesz fantastyczne bzdury,
Rzucając nam w oczy piasek...
— To żart w dziwnym smaku, który
Nie wzbudzi u nas niesnasek,
Lecz, do kroćset, skończ, bom zły!

AVELLANEDA. Słusznie!

D. JUAN. Kłamiesz!

CENT. Ty!

D. JUAN. Nie, ty!

CENT. To słowo...

D. JUAN. Z serca wybucha:
Kłamiesz! Dla mojego męstwa
Nie potrzeba czarnoksiężstwa,
Ni z za grobu świadectw ducha,
Cudów fałszywych, ni wrzawy:
W tem, że jest moje. — dość sław y

AVELLANEDA { Obaczym.
CENTELLAS {

D. JUAN. Na krótki czas
Hamujcie gniew! Wyjdźmy z domu.
Bo nie chcę ponosić sromu,
Żem u siebie zabił was!

AVELLANEDA. Tak, lecz tu jesteśmy dwaj...

D. JUAN. Chcecie? — obu naraz służę!

CENT. Wstyd byłby! Wybierzcie, panie
Kto pierwszy.

D. JUAN. Ty, kapitanie!
Chodźmy.

CENT. Chodźmy. Don Juanie!

ANATOL FRANCE

(1844—1924)

„Ironja, uśmiechając się,
czyni życie lżejszem; współ-
czucie, płacząc, czyni je
świętem“.

Anatol France.

W osiemdziesiątym roku życia
umarł Anatol Thibaud, uwieczniony
w literaturze pod pseudonimem Ana-
tola France'a. Zgasł człowiek—książ-
ka. Jeden z najciekawszych i najge-
nijalniejszych wykwitów kultury przed-
wojennej, schyłkowej, uchylający się
starannie od bezpośredniości twór-
czej kultury, która każde przebycie
cedziła przez filrt intelektualizmu,

osadzający wszystkie cząstki organi-
czne tak, że do psychiki czytelnika
przenikał jedynie sztuczny produkt —
literatura

Dziwnymi drogami idzie niekiedy
dziedziczność. Ojciec France'a był
księgarzem, on sam stał się prawdzi-
wym „bukinistą” ducha. To, co było
u ojca zawodem, rzemiosłem — syn
podniósł do godności powołania, roz-
szerzył na całą dziedzinę—piśmienni-
ctwa. I nigdy, nigdy nie mógł wyjść
z zaczarowanego koła, które mu za-
kreślił jego punkt wyjścia i oś jego
ducha—książka.

Anatol France pozostał wiernym
swojej rasie i rasie duchów i umysłów
bibliotecznych. Na początku świata
nie było dla niego ani ciemności ani
światła, ani słowa—była litera. Z niej
biło dla France'a źródło bycia i po-
znania. Z księgi wyszedł i dążył do
książki. Ona mu była alfą i omegą
wszechrzeczy, mistrzynią, przewodniczą,
światlaną Beatrice.

Gdyby się był uczył tylko od
życia, to może nigdy nie stałby się
znakomitym pisarzem, ale postawa
jego wobec świata byłaby postawą
pełną miłości lub nienawiści. Ponie-

waż uczył się od książki i wyszał z niej wszystko, co mógł, zatruliła go ona jadem śmiertelnego sceptycyzmu, albowiem najpiękniejsza książka, nie wsparta o pulpit życia, jest zawsze tylko grobem.

W tym mauzoleum książki, w sarkofagu cudnie rzeźbionym, wymyślnie zdobnym, pieściwie ukwieconym pochował France wszystkie wiary i wszystkie ukochania ludzkości. A dokonywało się to bez tragicznego załamania, bez rozpacz, nawet bez tyranizmu i lirycznych westchnień.

Bogowie France'a nie wracali do Walhalli, zatruli się homarem albo poprostu umierali z zakażenia krwi wskutek niedbale dokonanego „pedicure”. Byli to przecież za życia tylko poczciwi burżuazyści, albo sprytni snoby, drapujące się efektownie w płaszcz wielkości i chwały. France nie strącał ich z ołtarzy, nie zdmuchiwał ich aureoli, poprostu zrywał z nich maskę z tym właściwym sobie, lobuzerskim uśmiechem ironji, który działał lepiej i pewniej od młota i sztyletu. Albowiem bóstwa obalone mogą zmartwychwstać, ośmieszona nigdy.

To pobojuwisko rzekomych świętości, samozwańczych potęg, szalibierczych relikwii, zdemaskowanych żonglerów ideału, zlicytowanych doszczętnie krezusów ducha, zaczęło przybierać rozmiary tak groźne, że wobec nich poblądł nawet sceptyczny uśmiech mędrca, który ze spokojną rozkoszą napawał się widokiem pogromu.

Książka nauczyła go o wszystkim wątpić, ukazała mu ujścia, miedziany, bagniska wszechduchów, ale nie zaprowadziła go do tajemnych źró-

dlisk życia. Napróżno sięgał do nich ręką spragnioną. Pomiedzy tą czarą a jego ustami była zawsze przepaść, której wypełnić nie mogła martwa, choć piękna w swej marmurowej martwocie litera.

Wówczas dusza jego wezbrała lękiem wobec otchłani, jaką sam dziełem swoim przed sobą wykopał. W tym labiryncie bezbrzeżnego zwątpienia zaczął chwiać się nawet tak potężny jak jego intelekt, a serce ludzkie, serce dobrego, cichego człowieka, zagrzebanego w księgach, serce, przyprószone popiołami zgorzałego entuzjazmu, rozpaczliwie zaczęło szukać sobie wyjścia.

I znalazło je — znów w książce. Nitką Arjadny stała mu się nić „między dawnymi i nowymi laty”, związek nierozzerwalny sceptycyzmu własnego z przeszłością myśli francuskiej. W niej niezawodny instynkt samozachowawczy kazał mu szukać oparcia i... usprawiedliwienia. Posłuchajmy jego własnych słów w tej kwestji.

„Wszyscy wielcy myśliciele francuscy byli sceptykami: Rabelais, Montaigne, Molière, Voltaire, Renan... Uważa się to określenie (sceptycyzm) za synonim negacji. Lecz właśnie nasi wielcy sceptycy byli umysłami nawskroś pozytywnymi. Przeczyli, ale przeczyli negacji, atakowali wszystko, co krępuje inteligencję i wolę, zwalczali nieświadomość, która oślepia, błąd i przesąd, ciemniące myślenie, nietolerancję, która tyranizuje i nienawidź, która zabija. Sceptycy są największymi idealistami pośród ludzi, tylko są to idealisci smutni i rozczarowani”.

Tej całej krótkiej, ale wymownej apologji sceptycyzmu nie można nic zarzucić ani pod względem logiki, ani z punktu widzenia psychologicznego. Jest to nietylko akt samoobrony, ale zwarte Credo ideologii France'a, skrót perspektywiczny jego stosunku do świata. Czuć, że dyktowała go nietylko potężna inteligencja, ale gorące serce „smutnego i rozczarowanego idealisty”, który w rumianym owocu życia znalazł jeno gorycz i popioły morza Martwego.

Na rubieży tych tam żywiołów: analizującego i wszystko rozkładającego intelektu z jednej, a konstruktywnej uczuciowości z drugiej strony — stanął duch France'a w ironicznej, a zarazem współczującej kontemplacji, dokonywując tej jedynej w swoim rodzaju rewji duchów, idei, wiar i ukochań ludzkości.

Dziwny, niezapomniany przegląd, od którego czasem cierpnie skóra, czasem dusza wzdryga się z obrzydzenia, czasem goręcej uderzy serce i ła zakreśli się pod powieką.

A na krańcach tego pochodzenia dwóch dwie postacie, jak dwa słupy graniczne: Piłat i Kuglarz Matki Boskiej.

Jeden, zapytany po latach o sprawowany przezeń niegdyś sąd nad Chrystusem odpowiada:

— „Nie pamiętam...” drugi płomieniem swego niewinnego serca i dziecięcą ofiarą żonglerskich igraszek sprawia cud: wywołuje uśmiech na licu marmurowej Madonny.

Niechaj ten drugi będzie obrońcą France'a sceptyka przed sądem potomości i orędownikiem jego w wieczystej krainie cieni. *Stefania Podhorska-Okołów.*

Z A W Ó D

Cokolwiek się dało powiedzieć o etymologii wyrazu: z a w ó d, z jakichkolwiek początków wysnuć jego pochodzenie, stwierdzić trzeba w każdym razie dziwne pokrewieństwo obu jego — zdawałoby się — tak różnych znaczeń! Można powiedzieć, że dwuznaczność tkwi tu nie tylko w samym wyrazie, ale do pewnego stopnia nawet w odpowiadających mu pojęciach. Dużo się spodziewać z góry, a potem się rozczarować — oto najistotniejsze określenie tego słowa w obu znaczeniach. Czy ta ciekawa właściwość językowa nie jest przypadkiem jakąś głębszą cechą naszego charakteru i naszych stosunków?

Podczas gdy naprzykład w Niemczech każda praca jest, albo przynajmniej chcą ją uważać za powołanie (Beruf) — wszystko jedno: wewnętrzne czy zewnętrzne, — we Francji zaś jest zatrudnieniem (profession) — to u nas każde zajęcie z góry jest nazywane, a więc i uważane za zawód. Jaśli się mówi u nas o powołaniu,

to w każdym razie w wypadkach wyjątkowych i w znaczeniu raczej wewnętrznym, bardzo rzadko natomiast w odniesieniach do zajęć codziennych, praktycznych.

Skąd to pochodzi?

Być może — na dnie tego zjawiska kryje się jakiś utajony rys psychyki narodowej, która uważa powołanie za rzecz tak szczytną i idealną, że życie praktyczne nigdy tym ideałom odpowiadać nie może. Być może — jest to refleks pewnej skłonności do idealizmu, która lęka się realnej rzeczywistości jako źródła bolesnych doświadczeń i nieuniknionych rozczarowań.

Zostawmy jednak na boku rozważania filozoficzne, a przypatrzmy się tej sprawie z punktu widzenia społecznego.

Dlaczego zawód musi być zawodem? i dlaczego jest tak dużo ludzi w zawodzie zawiedzionych?

Składają się na to — poza pewnymi może wrodzonymi czynnikami —

przyczyny dwojakiego rodzaju: natury pedagogiczno-wychowawczej i psychologiczno-społecznej.

Zacznę od pierwszych. Otóż niejednokrotnie i od dawna przychodziło mi na myśl, że sposób, w jaki przygotowujemy młodzież do przyszłego życia, jest właściwie z gruntu fałszywy.

Bo czyż my, kształcąc i wychowując młodzież, myślimy choćby na chwilę o pracy i stanowisku, które je w życiu czekają? Czy zwracamy należytą uwagę na rzeczy tak ważne, jak indywidualne zdolności i powołanie? Czy rozbudzamy w niej poczucie obowiązku i odpowiedzialności, ukochanie pracy, specjalnie swojej przyszłej pracy, zrozumienie wzajemnego stosunku do społeczeństwa i t. p.?

Można powiedzieć, że nikt właściwie o to się nie troszczy. Dom w najlepszym razie troszczy się o rozwój cnót rodzinnych, towarzyskich — czasem o karierę; szkoła zaś, o ile myśli

o czemś więcej, niż o obowiązkowym wypełnianiu programu, zachowuje się tak, jakby w każdym dziecku wychować chciała przyszłego uczonego. Wielu pedagogów uważałoby to za rzecz śmieszna, frywialną — w najlepszym razie za grubą niedyskrecję, gdyby kazano im zainteresować się życiem osobistym, a więc jedynie prawdziwym życiem ich uczniów. Są i tacy nauczyciele, którzy z całym cynizmem głośno się chwala, że to, co uczniowie myślą, czują, do czego dążą — to nic a nic ich nie obchodzi. To jest nudne, niepotrzebne!

A przecież mówią nam, że nauczyciele mają być mistrzami życia dla swoich uczniów — i oni sami często wychowawcami się być mienia!

Na tym punkcie dom i szkoła są zgodne: nie wtrącają się zupełnie ani do sprawy wyboru przyszłej pracy życiowej, ani do kwestji odpowiedniego do niej przygotowania. Te rzeczy najważniejsze zostawia się do rozstrzygnięcia najniedorzeczniejszym przypadkom, o ile utylitaryzm i karjera z góry już nie przesądziły sprawy.

A życie? to nasze specyficzne życie?

Mówią o nas, że unikamy wysiłków, że jesteśmy za mało produktywni. Zarzucają nam brak inicjatywy i wy-

trwałości, skłonność do idealizmu, która wytwarza specyficzną bierność, skłaniającą szczególnie do pewnego typu życiowego. W takich warunkach musi się stać ideałem: stała rodzina, urząd, w każdym razie zdjęcie rzutkości, przedsiębiorczości, osobistego ryzyka.

Czy ten stan rzeczy jest naprawdę li tylko wpływem pewnych cech narodowych?

Mam wrażenie, że większą rolę odgrywa tu atmosfera wychowawcza i atmosfera życia społecznego. Życie społeczne bowiem wytwarza wzory, które mają wpływ decydujący. Młodzież je naśladuje. Czy tak, jak jest — jest dobrze? Czy praca w tych warunkach daje zadowolenie? Czy przynosi pożytek? Cała głęboka i wszechstronna odpowiedź mieści się w tak dziwnie dobrze dobranym wyrazie: zawód.

Zawodzą się wszyscy. Zawodzą się i ci, którzy pracy nieodpowiednio wybranej się podjęli, zawodzą i ci, którzy na tę pracę liczyli — zawodzi się także i naród, którego siła opierać się musi na sumie wysiłków poszczególnych obywateli!

Powstaje fatalne „qui pro quo”, w którym nikt nie jest na swoim miejscu: szewc jest adwokatem, adwokat nauczycielem. Czy może tu

być mowa o zadowoleniu, gdy wszyscy spełniają swą pracę tylko tak, aby ją zbyć — bez poczucia obowiązku społecznego i osobistej odpowiedzialności?!

Można bowiem zgodzić się na to, że nie każdy ma zdecydowane poczucie wrodzonych zdolności i powołania, choć napewno niejedyn wybitny talent doszedłby do głosu, gdyby ktoś się nim zainteresował, gdyby stworzono odpowiednie warunki do jego rozwoju. Ale jedno jest pewne, że w każdym człowieku można przez wychowanie i wpływ otoczenia stworzyć od wczesnego już wieku potrzebę obrania dla siebie odpowiedniej pracy życiowej. Można doskonale rozwinąć w nich poczucie, że za tę pracę będzie kiedyś odpowiedzialny, bo od sposobu jej wykonania zależeć będzie nie tylko jego własne szczęście, ale i dobro całego narodu. Trzeba wyrobić w młodzieży przekonanie, że stanowisko, które kiedyś w życiu zajmie, będzie jakby placówką, na której każdy, jak żołnierz spełnić musi swój obowiązek.

Taki pogląd na życie i pracę jest jedynie godny człowieka i napewno chroni przed zawodem, dając prawdziwe poczucie siły, godności osobistej i zadowolenia.

(c. d. n.)

K. S.

Z Kongresu wszechświatowego dla zwalczania handlu dziewczętami i dziećmi

Jako delegatka organizacji polskich przemawia p. Holder Eggerowa, posłanka do sejmu. Wyraża ona głębokie ubolewanie z powodu nieobecności na kongresie przedstawiciela Rządu polskiego. Przyczyną tego jest zaślabnięcie delegowanego przez Rząd polski p. senatora Posnera, który do Gruzji nie mógł przybyć. P. Holder Eggerowa zapewnia jednak zgromadzenie, że Rząd polski z całą sympatią i uznaniem powitał zwołanie kongresu i postanowienia, które tu zapadną będą niewątpliwie w czyn wprowadzone. Dowodem przychylnego stanowiska Rządu polskiego w sprawie zwalczania handlu dziewczętami i dziećmi jest przystąpienie do konwencji z r. 1904, 1910 i 1923, które to konwencje ratyfikowane zostały przez izby ustawodawcze w lipcu b. r. W myśl tych konwencji stworzone zostały przy Min. Sp. W. centralne Biuro do zwalczania handlu kob. i dziećmi, odnośny referat przy Min. pracy i opieki społecznej, a także komitet Narodowy złożony z przedstawicieli organizacji społecznych. Wszystkie te organizacje pracują wspólnie, ciesząc się poparciem stałym Rządu w swoich poczynaniach. Rozporządzenia Rządu wydane drogą okólników wszystkim

władzom adm. i polic. wojewodom i starostom w sprawie współdziałania w tworzeniu komitetów lokalnych do zwalczania handlu kob. i dziećmi, przepisy o wydawaniu paszportów na wyjazd zagranicę kobietom i dziewczętom, czuwanie nad podejrzanymi osobnikami i odnośne instrukcje policyjne ułatwiają pracę komitetu. Działalność jego, jako instytucji młodej, bo rok zaledwie trwającej, nie mogła być do tąd wydatną, przytem brak środków, pieniężnych w okresie sanacyjnym uniemożliwia szerszą akcję. Jednakże w budżecie na rok b. sejm uchwalił 20.000 zł. na organizowanie misji dworcowych. Z poczynań ustawodawczych zaznaczyć należy, że ustawa o ochronie pracy młodocianych i kobiet, uchwalona przez ciała ustawodawcze w ciągu lata b. r. zawiera ustęp chroniący dziewczęta od pracy, grożącej moralności.

W opracowaniu również jest ustawa o zwalczaniu chorób wenerycznych, która z powodu niemożności uzgodnienia poszczególnych paragrafów odłożona została do sesji jesiennej. — Przemawia jeszcze przedstawiciel Hiszpanji i nareszcie zaczyna się właściwy referat tego posiedzenia o niemoralnych pu-

blikacjach. P. Kendel (Anglja) mówi o łączności między publikacją pornograficznych wydawnictw i handlem żywym towarem. Konwencja genewska z 1923 r. proponuje, ażeby we wszystkich krajach rozpowszechnianie niemoralnych druków było uważane za zbrodnię. W Anglii niebawem wyjdzie taka ustawa. Właściwie co jest niemoralne, trudno określić. Wspaniałą mowę w tym przedmiocie wygłasza Mr. Bilfant z Paryża, twierdząc, że handel pornografią jest przeciwko moralności młodzieży, że choć do kina wstęp młodzieży bywa wzbroniony, to przed kinem plakaty przyciągają uwagę dzieci i zły wpływ wywierają. Delegatka z Wiednia twierdzi, że żadna ustawa, żadne kary przeciwko literaturze pornograficznej, brudnej nie pomogą, dopóki będzie ona kupowana i pożądana. Wstręt do tego w narodzie, poczucie moralności może być jedynie hamulcem w rozpowszechnianiu tego, co wstrętne i szkodliwe. Prof. dr. Ude powiada, że literatura ta jest, bo ją kupują, wychowanie tylko może przeciwdziałać, połączenie kościoła, szkoły i sądu może dać dobre rezultaty. Drugą sprawą, podlegającą obradom kongresu, jest emigracja, która do-

starcza tak dużo żywego towaru handlarzom. Dr. Kohen (Anglja) referuje o stosunku emigracji do handlu dziewczętami i dziećmi. Przedewszystkiem potrzebna jest znajomość języka kraju, do którego się wjeżdza. Komitety narodowe powinny wpłynąć na rządy, ażeby roztoczyły opiekę nad kobietami emigrantkami. W Komitecie Ligi Narodów polecono, co następuje:

1) Przed wstąpieniem na okręt wszelkie środki zaradcze powinny być przedsięwzięte.

2) Przepisy emigracyjne powinny być tak zredagowane, żeby żaden z członków rodziny nie był oddzielony.

3) Musi być dozwolony wstęp na okręty emigracyjne towarzystwom dla zwalczania handlu kob. i dziećmi.

4) Podczas przejazdu muszą mieć nadzór odpowiednio wykwalifikowane kobiety.

5) Towarzystwa okrętowe mają być zmuszone do wywieszania kart z ostrzeżeniami.

6) Przepisy rządów, wydane dla ochrony kobiet nie mają krępować osobistej wolności pełnoletnich kobiet.

To są rezolucje ostatniej Rzymskiej Konferencji, ale prawa rządowe tak wolno wychodzą, że prywatna inicjatywa jest konieczna.

We wszystkich portach powinny być przytułki dla kobiet i dzieci. Paszporty powinny być wydawane dziewczętom niepełnoletnim tylko po dokładnem sprawdzeniu przez policję, lub towarzystwa opieki celów wyjazdu, miejsca i charakteru.

Często rodzice mają papiery w porządku, dzieciom robi się trudności i wtedy popadają w sidła, roztoczone poprzednio.

Na Kubie kręci się 6000 emigrantek bez opieki i bez zajęcia. Co się tam dzieje, można sobie wyobrazić. Dyskusja na ten temat bardzo ożywiona. Delegatka Gdańska opowiada, że z Polski i kresowych państw często przyjeżdżają ludzie, mając karty okrętowe, a nie mając pozwolenia na wjazd do miejsca przeznaczenia. Muszą zostać i popadają w najwyższą nędzę. Naczelnik policji wiedeńskiej powiada, że nie chodzi tylko o emigrację za morze, ale także o wyjazdy na Bałkan i do innych krajów. Wiedeńska policja nie daje żadnej młodej dziewczynie paszportu bez pozwolenia Towarzystwa Opieki i bez stwierdzenia celu podróży.

P. Pappenheim przemawia, w imieniu Żydowskiego Komitetu, o wychodźcach z Rosji, gdzie pozostało 4000 zarejestrowanych sierot i zapytuje co się stanie z temi sierotami. — Stworzyła się komisja dla omówienia rezolucyj proponowanych przez p. Kohena.

Trzecią bardzo ważną sprawą jest zabronienie przyjmowania cudzoziemek do domów publicznych.

Dr. A. de Graff, Hollandczyk referuje i twierdzi, że jeszcze są kraje niedorośle do tego, żeby skasować reglamentację prostytucji. W Holandji prostytucja wszelkiego rodzaju jest wzbroniona od 1911 r. jednakże po-

mimo wszystkich głosów parlamentu kwitnie tajna prostytucja.

Londyński Kongres 1913 r. stwierdził, że głównym źródłem handlu dziećmi i dziećmi są domy publiczne. W rzeczywistości dziś domy publiczne w żadnym narodzie nie są potrzebne.

Posłanka polska p. Holder Eggerowa zabiera głos mówiąc o doniosłym fakcie zniesienia domów publicznych w Polsce. Od 2-ch lat domy publiczne, te główne źródła handlu żywym towarem, przestały istnieć. Obecne rozporządzenie rządowe pozwala tylko na zamieszkiwanie jednego lokalu dwum osobom trudniącym się nierządem. Reglamentacja policyjna przestała istnieć, pozostała tylko t. zw. neoreglamentacja sanitarna. Tem samym jednak nie został rozwiązany trudny problem prostytucji, która w dalszym ciągu pokryjomu bywa uprawiana i daje pole handlarzom do frymarczenia ciałem ludzkim.

W ciągu roku 1923 Biuro Centralne zanotowało 5 faktów handlu kobietami. Z powodu braku dowodów winnych nie dosięgła kara. Handel ten tak nieuchwytny i tem niebezpieczniejszy musi być zwalczany wspólnym wysiłkiem wszystkich państw. — Mr. Henneguin, były francuski minister w długiej mowie wypowiada się przeciwko prawu wydalenia cudzoziemek z domów publicznych, nie mogąc robić różnicy między rodzimymi mieszkankami i obcymi.

(c. d. n.).

X.

MIASTA I KOBIETY

(WRAŻENIA)

V.

Ulica w Bytomiu. We mgle pełgają światła: latarnie, wielkie kwadraty okien wystawowych, przyćmione koronką szybki mieszkań. Ciepło i mokro. Skrzypi pod podeszwami żwir węglowy. Środkiem ulicy wali tłum—gęsty, podniecony i niezwrrotny. Tramwaj nie może sobie dać rady, więc — schrypnięty od dzwonienia — utknął w masie ludzkiej, jak w dziegiu i stoi, osowiały. Konduktor złazi, i już gada namiętnie z gromadą czarnych jegomościów. Spacerują w łańcuch splecione płaskonogie dziewczyny, nachylając ku sobie głowy w kapelusikach — niezmiernie modnych przed dwudziestu laty — które na szczycie koków tkwią w sposób ryzykowny.

Niepokój, jak świszczący dech maszyny, faluje ciężko w powietrzu. Co się stało? Na jaką intencję to zbiegowisko? Czy święto robotnicze?

Czy demonstracja? Nie. Poprosto dzień powszedni po fajerancie.

Miasteczka śląskie są, jak rury pozbawione kranów: fala ludzka napełnia je po to, żeby czem prędzej przepłynąć i wylać się w dalsze koryta. Cała prowincja, przecięta granicą, niby wiecznie zaognioną blizną, stanowi wielkie osiedle, w którym poszczególne skupiska grają rolę rynków. I podobnie stolicom, gdzie między jednym a drugim punktem węzłowym ruchu ciągną się nieraz bezbarwne przestrzenie, oparkanione albo zgoła nagie między Katowicami a Królewską Hutą, czy też między Chorzewem a Bytomiem, samochód pędzi przez krótkie płaszczyzny jałowe, czyniące wrażenie nieużytków.

Pole — ziemia pracowita i radosna, przychylna ludziom, a żadna ich ręki troskliwej — pole z obrazów Skoczylasa tak bardzo nie godzi się z charakterem pejzażu śląskiego, że gdy

się mija w drodze do Bytomia, zielone szczecinki ozimin, wyblaskujące zza ceglanych murów, widok ten robi wrażenie nedorzeczności, coś jakby Krasnoludek terrakotowy w miejskim ogrodzie.

Kończy się miasteczko, ostatnia wędliniarnia została w tyle, otwiera się świat na obie strony, niebo opada ku ziemi — podobne skrzydłom zmęczonemu olbrzymiego ptaka — a człowiek czuje zdziwienie: skąd ten obszar i czemu taka wielka luka w zabudowaniach? Jakoż za chwilę wyraźta miasteczko następne i taka sama wędliniarnia wita na wstępie, która zęgnęła przy końcu uprzednio poznanej osady. Więc i ludzie spotykani w przelocie, to wędrowcy cierpliwi, krokiem oraczy przemierzający wsiove drogi — to spacerowicze w melonikach (a nie w cylindrach), wycinanki, do tła zielonego przyszyte bardzo luźno. Podgrzani piwem, kłótili w i dziecienni — toczą się, niby żułci

w otwarte gardziele kinematografów. Skoro tylko ustaje nad tymi ludźmi czar fabrycznego smoka—gdy źrenice machin wypuszczają ze swego kręgu biedne piaskoludki — na ulicach Królewskiej Huty, Chorzowa czy Bytomia zjawia się tłum gorączkowy, zaśpieszony, nasiąkły wrzawą, jak sitowie wiatrem, ubogi w kolorze i nikomu niemiły. Kańciaste sylwety mrowią się na placach, rajcują po rogach, oblepiają stoliki kawiarni i wystawowe okna, płaczą się bez sensu w poprzek każdej drogi i zastygają — pod światłem syczących latarń — w kształt kubistycznego afisza. Wszyscy przeszkadzają wszystkim, choć wszyscy do wszystkich się garną. Sklepy są bardzo pełne, ale nie widać, żeby ktoś sprzedawał, ani ktoś inny kupował. Spieszą się, drepczą sobie po piętach i pakują sąsiadom łokcie w same oczy, bo nerwy nastawione przez osiem godzin na tempo rubato nie umieją już przechodzić w rytm odpoczynku: drgają wiecznie jak nieprzytomne struny. A słowa i giesty stadem ciskają się w ślad za nerwami. Morze gwaru, kaszkietów, śmiechu, wyzwisk, niepokoju i niezdarnych ucześniań obija się o mury śląskich miasteczek i — zrywając tamy rogatek — przelewa zgiełkliwy odmět z ulicy w ulicę i z przedmieścia w przedmieście. Przybyszowi zaczyna łopotać w koło głowy. Co się stało? Nic. — Dzień powszedni po fajerancie.

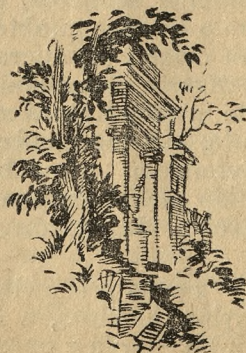
Zielono, gorąco, żywicznie. Słońce leje się na dom jak syrop bursztynowy. Ledwie że mrugają lipy zieloną powieką; wiatr spi w dziupli, wsparłszy kosmatą głowę na ognie wiewiórki, muchy — opite złotem — dumniejsze są, niż pawie. Hania siedzi na progu, patrzy w blask i mruga. Opięty ma na sobie perkalowy kaftan z rękawami bufiastymi przy ramionach, spódnice fałdzistą, skrętnie ukrytą w powodzi fartuchów, nos do góry zadarty i minę zupełnie „z pod Pińska“. A przecież — jako żywo — jest rodowita Ślązaczka. „Przywiozła ją państwo“ z Katowic do Rabki. Naturalnie „do wszystkiego“. Kiedy Hania odezwie się do człowieka, z ust jej wyskakują słowa śmieszne, jak małe kulfony, niepodobne do żadnej rzeczy rozsądnej; jąderko sensu tak głęboko bywa w tych pokraccznych wyrazach schowane, że interlokutor z obrzydzeniem macha ręką, zanim treść odcyfruje. A jednak Hania całymi wieczorami gada do zdechu z naszą Rózią z pod Siedlec i z Heleną — Tarnowianką... Śmieją się z niej do łez, i rozumieją doskonale. Mała Kaśka nawet — nabywająca pod okiem Ślązaczki kunsztu robienia pończoch — wie dobrze, które warknięcie krótkonosej osoby oznacza naganę, a które pochwałę. Sposób wystawiania się Hani nie budzi protestu — bawi tylko,

Natomiast i Rózia i Helena niezyci- wie zapatrują się na jej metody gospodarcze. Lekkomysłne szafowanie wodą i mydłem, serje jakichciś proszków, z których jedne wydają ze siebie tęczowe leguminy, a inne czyszczą garnki — procedery te budzą wstręt u swojskich dziewczyn. Zresztą... Hania także miała „liblinga“, więc porozumienie wraca łatwo.

Czas jest niedzielny. Słodkość i lenistwo pęcznią w słońcu, jak owoce. Władek od krów spaceruje godnie w ślad za Zuzulą, przystrojony w długie pantalone i filcowy kapelusz. Nie wrzeszczy, batem nie macha — chodzi rozważnie zórawim krokiem, z rękami w kieszeniach: świętuje.

A i Zazula ma poczucie przyzwoitości, zachowuje się taktownie: kwiatuszki cykorji szczypie z wdziękiem, od niechcenia, oczyszcza markotne wytrzeszcza na drogę z wyrazem melancholji i ani spojrzy w stronę owsa. Kołyszą głowami siwobrode jęczmiony, pszenica stoi ciężka, opita gorącości do ostatniego tchu — szczęśliwa i bolesna. Jak srebrna struna, przeciągnięta ze środka ziemi do samego rdzenia mózgu, wibruje ostro — ćwierkanie pasikoników. Zapachy w ciężkich, tłustych plamach kładą się na łąkę i z pośród ziół wypływają strumieniem gęstym, niby oliwa.

Hania — szafranowa w słońcu — siedzi na progu i pilnie oprowadza okiem postać Władka. Stał sobie chłopak pod gruszą, na krowę popatrzy, karcąco, długie portasy pieściwem spojrzeniem głaszcząc i coraz gwizdnie fałszywie a dziarsko. Hania na chwilę nie odejmuje wzroku od tej figury, niedzielą napełnionej po brzezi — patrzy tak mocno, że źrenice powlekają się szklivem łez. Zeszłam z werandy, gdzie słońce rozwaliło się arogancko na wszystkich leżakach odrazu, i wsiąklam w trawę opodal. Kobieta odwróciła ku mnie głowę i — wskazawszy brodą Władka — rzekła: „Fajny chłopak“. Przytwardziłam skwapliwie, acz w innem narzeczu. „Mama sztucę już z nigo majom“. Zgodziłam się i na to. „Mój Francus



teroby taki sam stary był...“ Więc zaczęłam pytywać o Francusia... Powiedziano mi tak: Rok minął na wiosnę, jak go niema. (Czternaście lat tylko matkę cieszył). Oczy miał czarne, jak paciorki i przy kopalni już węgiel rafował za ładnych parę biljonów dziennie. W szkole same dostawał dobre „sztufy“ i do wierszy pamięć posiadał niezmierną. Hania umiała parę „polskich giedychców“ i nauczyła Francusia takiego „liedu“, co się zaczyna: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy“. Francus był głupi, jak to dziecko, więc też, kiedyś jak pierony „wzięły do policajów sziesować“ — wybiegł na drogę i dalejże śpiewać, ile sił w czternastoletnim gardle: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy...“ A policje, krwią szpetnie poplamieni, wymierzili na niego drżącymi rękami małe, czarne lufy i wystrzelili czymprędzej. Legł Francus zaraz cichutko i więcej już nigdy swego „liedu“ nie śpiewał. A jeszcze mu po śmierci „policaje“ brzydko naurągali i w „sztubie“ Hani wszystkie sprzęty w puch rozbite.

...Tak mi powiedziano — bez gniewu i bez żalu. Poszukałam oczami Władka... Zazula spacerowym krokiem sunęła w stronę domu. W przyzwoitej odległości młody pan Gąsienica, poświstując, jak sam plenipotent, paradował akurat w tym samym kierunku. Szły za nim zmaczone źrenice Hani.

Samochód biegnie dobrym, kawalerskim truchtem. Miarowo sapie maszyna; powietrze, niby mokra gałąź, muska policzki denerwującą pieścizotą. Przestrzeń tak jest zaludniona światłami, jak niebo anielską bracją. Pyzate latarne podobne twarzom księżyców, stoją nisko przy ziemi, wyciągnięte w szpaler. Na wstążkach z mgły kołyszą się niebieskie kule, dalekie i dziewczęce. Pełno wszędzie złotych ćwieków, gwiazd, rozsypanych na ziemi i lawy, buchającej z nieba. Pola całe palą się czerwono. Rzekłbyś: skórę zdarto z ziemi i krwią broczy zranione wnętrze „Hałdy“. Podobno nieraz człowiek opętany czerwieniem przytuli się do tej łąki ogniwej i na pościeli z płomienia zostanie na wieki. Jedziemy wśród świetlistego tumultu. Z sieci lamp, latar, z koberca żużli wyrastają wieże, bastjony, obeliski, monstrualnie wielkie palce, wyciągnięte ku chmurom świętokradczym gościem. Łuki jakieś, żelazne koronki, rozpięte wśród obłoków dymu i niesamowite drzewa, klejone z betonu. Nie widać ludzi. Czasem, jak śmiech djabła, buchnie snop płomieni z pośród warg rozwartych niewiadomej wieży. Chciałbyś wtedy zobaczyć między ziemią a niebem wielką postać wroga... I przypomina się ostatni „lied“ Francusia „Jeszcze Polska nie zginęła...“

M A R J A D A B R O W S K A

J A R Z Ę B I N O W A Z I E M I A

III.

KARTUZY.

Pochylenie czoła, gdyż wstępujemy w niebylejaką ziemię. Południowe Kaszuby jest to w podaniu tamtejszych ludzi, to samo co Ziemia święta. Zbawiciel urodził się w Bytowie, „bo Betlejem i Betowo to jest jedno miasto“ a Wejherowo to Jerozolima z Golgotą. Zanurzamy się w kraj wzgórzysty i cienisty, pełny bladych jezior i strumienistych rzeczek.

Kartuzy, od dwóch lat dopiero miasto, a przedtem podklasztorna osada — są stolicą tej okolicy, którą Niemcy nazwali pretensjonalnie: Kaszubska Szwajcaria.

W Kartuzach jest mały, lecz wielce stary park, omszony i rzucający jakby cień na całe miasteczko. — Około tego parku nieco pochyło stają uliczki naprzemian ciemne, lub skąpane na ukos we słońcu jak inspekty.

Jedną z nich idzie się po stopniach i ta jest najweselsza, taka nagrzana i tyle zieloności z niej spływa.

W Kartuzach domki są owinięte w bluszcz i w fiołkowe klematisy.

Rynek jest płaski i pusty, ze swym rozsądnym kościołem ewangelickim, z rzędami równych drzew — ze sklepikami naokoło. Gdy otworzyć drzwi do sklepika, donośny dzwonek przywołuje właściciela z głębi mieszkania, a gdy kto mocniej zamknie drzwi—to słychać na całe miasto.

W nowoczesnym „szykownym“ hotelu „Kaszubski dwór“ mała orkiestra gra codzień przy obiedzie modne tańce, i wyjące rosyjskie romanse — a na drugim końcu miasta, zupełnie inny stoi w staroświeckiej uliczce stary hotel Pomorski. Za drobną szybką holenderskich okien we wszystkich salkach parteru, z poza każdych zamkniętych drzwi słychać donośne i niepewne gawędy pijaków. Somnambuliczne, kontemplacyjne życie małego miasteczka tu doświadcza przy słodkim i gorzkim piwie swych niewyszukanych radości.

Pewnie, mocno, zażywnie rozsiadły się białe mury tej gospody pod swym czerwonym dachem, a w barze i w restauracji rozpierają się olbrzymie, staroświeckie kanapy, kryte czarnym włosiem, piękne, okrągłe stoły i mahoniowe krzesła.

Zaś na ścianie wiszą dwa „majstersztyki“—płasko rzeźbione w korku krajobrazy.

Mniejsza o „rzeźby w korku“ — ale jeżeli chodzi o antyki, to można tu znaleźć naprawdę ładne rzeczy w każdej wiejskiej oberży.

Wszędzie tu one są i świadczą swym powszechnym trwaniem na odwiecznym miejscu, że ziemia ta niegdyś tak pełna posępnych wydarzeń, w ostatniej dobie nie przeszła żadnej rewolucji gospodarczej. — Przy zew-

nętrznej, technicznej, tak wysokiej kulturze — przy wielkiem zdemokratyzowaniu — są to zarazem pod wielu względami zaścianki przedstuletnie.

Gdy mówimy o antykach, to prawdziwa dawność jest nie w mieście — ale czai się i trwa nieco za jego murami, na prawo od parku, na południowej stronie.

Tam to, gdy miniemy plac i figurę świętego Brunona, ujrzymy jak leży przed nami wśród zieleni stary kościół dawnego klasztoru Kartuzów. Leży, bo żaden chyba gmach na świecie nie daje tak dziwnego wrażenia — że to jakieś żywe i niepożyte ciało spoczywa na murawie. — Kościół jest długi i niski, a jego mury zrobione są z cegły. Cegła z biegiem wieków staje się ciemna jak zastygła posoka, albo brunatna jak stary razowiec — albo jasna, różowa, cielista. — Taka jasna jest tutaj właśnie — a nad starym, gotyckim murem barokowy, łamany, dach miedziany jest tak wygięty jak wielkie, zielone wieko trumny.

Klasztor powstał tu w 14-tym wieku z fundacji Jana z Rusoczyna (pod Gdańskiem), który mu ofiarował niejedną wieś,—także i Gdynię nad morzem.

Klasztor był niemiecki. Niemiecycy mnisi, sprowadzeni z Czech, nadali dzikiej puszczy, w której osiedli sentymentalne imię „Ogród Maryi“.

Bogaci Gdańszczanie budowali im emery, zdobili kościół. Tak było jeszcze za ostatnich książąt pomorskich. Świątobliwi zakonnicy dobrze im się za to odwdzięczyli, gdyż podobno stąd dopomagano kierować sławną rzeźnią Gdańską, dokonaną przez krzyżaków. Kartuzianie ogrodu Marii nad jeziorem Grzybkiem nie służyli tylko Bogu. Służyli Krzyżakom i Brandeburczykom przeciwko Polsce—byli ośrodkiem polityki germanizacyjnej kraju nawet w czasach panowania Rzeczypospolitej. Wzamięn znów za to, w tym wyścigu szlachetnych niewdzięczności, gdy nadszedł czas kulturkampfu, Prusy oddały kościół pokartuski luteranom.

Wtedy wdała się w sprawę ludność Kaszubska — cepami i kłonicami wyrzuciła Niemców i kosztem surowego procesu zachowała kościół dla siebie.

Z wielkich zabudowań klasztornych została tylko jedna, nieszeroka ulica i nią właśnie zbliżamy się do furty w murze.

Bo mur jest z jednej strony uliczki, a z drugiej stare, zwięzłe, chude domki z zimnego glazu. — I to jest najpiękniejszy kartuski zaułek, pełny niebieskiego cienia i złocistego słońca, pełny astrów i nasturcyj na siwej ścianie i w małym oknie — pełny jeziora, które wygląda z pomiędzy domów szafirową zrenicą — i kląska drobną falą wzdłuż brzegu, okrytego na zakręcie wspaniałym, bukowym gajem.

W prostym kościele o gwiazdzis-

tem sklepieniu, opartem końcami łuków na pyskach dziworaków — jest z prawej strony piękny, barokowy ołtarz z 1680 roku.

Czarny marmur stał się tu lekkim, alabaster świetlistym — figury świętych są pełne czaru — a na samym szczycie stoi niemal w podskoku radośnie, lekkomyślna, wzniośle młodzieńcza i natchniona postać Chrystusa.

W prezbiterjum ściana jest wybita złocistym i zielonym kurdybanem w motywy zwierząt i roślin.

A w drugim końcu świątyni pod brunatną rzeźbą chóru na posłednim miejscu we zmroku coś złociścieje — To lśni tam odstawiony już na zawsze dawny, wielki ołtarz. Pochodzi z najstarszych, gotyckich czasów klasztoru.

Wszystko, co się na nim dzieje jest wyrzeźbione w dwa rzędy — i wszyscy święci trzymają w rękach swe słowa na wstędze napisane. — Wszystko jest naiwne, złoczone, polichromowane i tak szalenie wzruszające jak wszystko, co jest dziecinne.

Na tem niepoczesnym miejscu pod chórem, przy tym gotyckim ołtarzyku, i tu tylko jedynie, chce się naprawdę uklęknąć i o coś bardzo upragnionego do zatroskanych, kolorowych świętych pomodlić i za coś bardzo dobrego podziękować.

Lecz czemś, co napełnia tumultem ekstatycznych i namiętnych przelżyć tę surową nawę — czemś, co w niej najbardziej żyje i tętni, są stalle.

Rzeźbione w czarnym dębie z rozmachem i niepohamowaną fantazją — są podobne do oliwskich i są pewno gdańskiej roboty.

Jak dużo rzeczy utaiło się na długie wieki, na długie jeszcze wieki w tych ławach z drzewa!

Święci i zakonnicy doświadczają tam wszystkich swych pokus i wszystkich cudownych przygód — anioły i maskarony łączą główne ornamenty swemi twarzami, pełnemi sprzecznych uczuć, wzniosłych, kapryśnych, złośliwych i miłosiernych naprzemiany — Ornament roślinny zdobi boki ław, a na oparcie nawet i na brzegi pulpity powyskakiwały modlące się, leżące, śpiące mnichy. Cała w murach i dzikich borach zamknięta epopeja ekstazy, ascezy, doświadczeń mistycznych i świątobliwych zabiegów — wybiegła tu na rzezaną powierzchnię drzewa.

I oto przez małe drzwi, żegnani smutną dłonią dębowego Boga Ojca ze stali celebransów wychodzimy na jasne powietrze. Mijamy ostatni erem — jaki zachował się do dziś. Mały, srogi budynek ciemnopurpurowy obrastają teraz malwy i gieorginie, a słońce rozgrzewa jego skostniałą starość.

I znów pod paciorkami jarzębiny idziemy naprzód w stronę Ostrzyc, ku słońcu sławnym jeziorom. (c. d. n.)

PAUL BORGUET

NOWELA

Z CYKLU: „TRAGEDJE TAJEMNE“

WYPADEK SAMOCHODOWY

I.

Banalność i płaskość dzisiejszego życia światowego służy jako temat bieżący do deklamacji dla wielu literatów współczesnych. Mylą się, idąc w tym wypadku za najwykolejszym snobizmem. Tragizm napotyka się w świecie na każdym kroku, o każdej porze i równie intensywny jak i w epokach najbardziej bujnych, wtedy gdy siła namiętności przejawiała się z całą swobodą, jak naprzykład w czasach włoskiego średniowiecza i francuskiego Renesansu. — Tylko dziś, jestto, że tak powiem, tragizm wewnętrzny, tragizm tajony, wyraża się milczeniem. Jeśli uwierzymy tym pozorom, to życie towarzyskie wyda się nam konwencjonalną gestykulacją wśród tła banalnego. Lecz gdy zrozumiemy tajemnicę tych przemilczeń, okażą się nam wówczas dramaty, tem gwałtowniejsze, że odbywają się w ciszy. Zdaje się wam, że macie przed sobą zwykły kącik salonu, łożę w Operze, halę w jakimś Palace Hotelu? I oto wśród tych ram tak pospolitych, objawia się nagle rozpętanie energii najbardziej namiętnych, w ludzkiej duszy. Nigdy nie odczułem silniej szczególnej poezji, kryjącej się w tych kontrastach pomiędzy spokojem pozorów, a tajoną mocą wzruszeń, jak przeżywając pewną przygodę, w której los kazał mi odegrać rolę mimowolną. Chciałbym ją opowiedzieć tako jak mi się zdarzyła, bez innych komentarzy niż te parę uwag, zresztą niezbyt oryginalnych, chociaż prawdziwych.

Działo się to przed paru laty. Bawiłem w Wenecji dla studjowania dokumentów do dzieła, którego pewno nigdy nie skończę. Nabawiłem się febrę, spacerując zbyt długo wieczorami po lagunach, po dniu spędzonym na pracy w archiwach. Lekarz zalecił mi zmianę klimatu i postanowiłem udać się do Alp Tyrolskich. Wybrałem za poradą lekarza, Toblach jako miejsce pobytu. Gdym studjował kartę, droga kolejną wydała mi się długą i krętą, na Werone, Botzen i Franzenfeste. Powozem przez Vittorio, Longarone, Pibre, Cortina d'Amperro, przybywałem wprost do Toblach i droga moja wiodła przez ojczyznę Tycjana. Zarówno on jak i Correggio umieszczali w swych obrazach krajobrazy ze stron tamtych.

Nająłem marne lando w Treviso i zaledwie minąłem pierwsze zbocza wzgórz, już sobie winszowałem, że wybrałem ten środek starożytecki lokomocji, a nie samochód, ofiarowany mi przez hotelarza. I cóżby mi przyszło z maszyny o sile 24-ech koni, której szybkość mi zachwalał? —

Przebyłbym tę drogę w pełnym pędzie zamiast zachwycać się najmniejszemi szczegółami: Piawą, toczącą swe mieniące się wody w głębi wąwozów, silną zielonością kasztanów, błękitnymi zarysami gór, bogactwem równin od strony Włoch, całym tym urokiem krajobrazów, napały alpejskich napały południowych. Szedłem pieszo w miejscach, gdzie droga pozwalała koniom iść tylko wolno. Stałem lekko w kryształowej atmosferze. Dotąd mi się jawią czerwone odcienie dolomitów, rysujących się nagle na gorącym szafirze nieba! Słyszę jeszcze szum potoków w zimnych jarach. Daleki byłem od przeczucia, że te wrażenia, pełne radosnej i prostej komedji, zamienią się w inne, tak przejmujące, że serce mi się ścisnęło w chwili, gdy mam o nich mówić.

Pierwszym popasem moim była właśnie ojczyzna Tycjana, urocza Pieve di Cadore, biała wśród swych zielonych łąk. W czasie drogi mogłem się przekonać, że moje upodobanie do podróży końmi, było prawdziwą ekscentrycznością w tym roku pańskim 19** Nie spotkałem żadnego powozu, lecz natomiast z dziesięć samochodów. Moje lando, o parę kilometrów przed Pieve, omal, że nie zostało zdruzgotane na zakręcie, przez samochód, pędzący z szybkością zawrotną. Poznałem go, gdy już stał przed hotelikiem, w którym zatrzymałem się także: był to samochód francuskiej słynnej fabryki. Właściciel dawał jakieś rozporządzenia szoferowi. I jego też poznałem odrazu, pomimo olbrzymich czarnych szkieł, zakrywających oczy i czapki sportowej, która spadała mu na czoło, uszy, policzki.

— Ty tutaj, odpowiedział. Jakaż to jednak prawda, że świat ten jest mały! Ale słuchaj, ja cię najmocniej przepraszam. Szofer mój najechał na twe lando... Dobrze prowadzi, ale to mój dawny stangret, a wiesz, że te zuchy mają manję szybkiej jazdy.

— To raczej mój woźnica nie trzymał się prawej strony, odpowiedziałem. Potem całkiem naturalnie:— Dokąd jedziesz? — i nie czekając odpowiedzi: Ja udaję się do Toblach na kilka tygodni.

Pytanie moje nie było zbyt dykretne. Ale stosunki nasze pozwalały na nie. Od lat dziesięciu Prosper Delornie i ja spotykaliśmy się ciągle. W teatrze bywał na wszystkich premierach; w paru salonach, mieliśmy przyjaciół wspólnych; należeliśmy obaj do jednego klubu. Delorne był jednym z tych bogatych Paryżan, prowadzących między światem a pół-

światkiem życie próżniacze i elegancie, pogardzane przez moralistów.

Z pochodzenia należał do sfer przemysłowych. Ojciec jego zebrał duży fundusz i pozostawił jednako wi sto tysięcy rocznego dochodu. On zaś po pewnych próbach w karierze dyplomatycznej, obrał sobie światowy tryb życia. Bardzo przystojny, uprawiający z zapałem wszelkie sporty — jeden ze współczesnych sposobów zatarcia cech plebejuszowskich — w dwudziestym roku zdawał się mieć jedyny cel w życiu: gonitwę za uciechami. Nie był żonaty. Nie słyszałem nigdy, aby łączono jego nazwisko z nazwiskiem jakiejś kobiety, znanej w świecie — a zresztą, cóż mię obchodzić mogły jego sprawy sercowe? Ogólnikowo przypuszczałem, że podobny jest do wszystkich innych młodzieńców tejże sfery i obyczajów. Teraz z odległości zdaję sobie sprawę, że było w tej twarzy jakieś szczególne skupienie, w głębi błękitnych oczu żar tłumiony, w zarysie ust namiętna dyskresja, a w policzkach nieco wpadniętych, zmęczenie nieustanną jakąś myślą. Lecz dopiero wypadki nadały sens tym obserwacjom. — Stojąc tak przed hotelem, w stroju automobilisty, chłopak ten nic nie miał w sobie z bohatera romansu — Gdy wpomniałem o Toblach, cień przeszedł po jego twarzy. Z tego także dziś sobie sprawę zdaję. Na razie nie spostrzegłem nic, nawet tego, że nie zaproponował mi ani zabrania ze sobą, ani wspólnego obiadu. Po krótkiej chwili, powiedział mi: ;

— Prawdopodobnie zatrzymam się także w Toblach.

I znowu po pauzie:

— W którym hotelu zamieszkaś tam?

Wymieniłem mu nazwę hotelu, który mi polecono.

Nic na to nie odpowiedział, tylko przeprosiwszy, że mię opuszcza, poszedł do swego szofera. Widziałem jak obaj spoglądali kolejno, to na mapę dróg to na niebo, gdzie gromadzące się chmury zapowiadały jedną z tych gwałtownych burz, częstych w Alpach. Poczem oglądać poczęli samochód, aby zbadać czy wszystko w porządku. Pozostawiłem go jego zajęciu. Amatorzy pędu stu kilometrów na godzinę stają się prawdziwymi rzemieślnikami maszyn swoich. Zapomniałem prawie o nim, gdy wszedł do jadalni, gdzie już siedziałem przy stole. Zasiadł na miejscu, gdzie stało przygotowane jego nakrycie i zwracając się do starszego kelnera:

— Proszę mi natychmiast podać obiad. I szoferowi mojemu także jak najprędzej.

Poczem zwracając się ku mnie:

— Postanowiłem jechać dziś wieczór. Będzie widno jeszcze ze 2 godziny. Przyjadę do Toblach przed nocą...

Wymawiając te słowa, tak naturalne, spoglądał na mnie, jakby w obawie, że wzbudzą zdziwienie lub

ciekawość. Dziś rozumiem, że chciał mnie wyprzedzić, w tym celu, aby przeszkodzić memu spotkaniu z osobami, do których dążył. Na razie pomyślałem tylko, że niema ochoty spędzić wieczoru zemną. Gdy mię pożegnał, zaśmiałem się sam na tę

myśl, że pomimo woli i wiedzy, zawsze można się stać niepożądanym dla kogoś. Nic w tem zresztą nie było dziwnego. Nie przyjechaliśmy tutaj, aby szukać nawzajem swego towarzystwa.

(c. d. n.)

tlumaczyła M. D.

22)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e s ć)

Odtąd co wieczora pukał pielgrzym do samotnego mieszkania Wandy—co wieczora ogień złoty, gorący płonął na kominie.

Mówili sobie rzeczy głębokie i tajemne, rzeczy, których nie zwieriali nikomu, rzeczy bez znaczenia: przeprocucia, sny, półwidzenia, półmyśli...

Jednego razu, siedząc na podłodze u ognia, otulona cała w białą, wełnianą chustkę, wyznała mu, że przed niedawnym czasem chodził za nią cień dziecięcy... I nagle stało im się obojgu jakoś nieswojo... Wrzeszcz wstał z fotela, poruszony głęboko po chwili rzekł głosem smutnym i drżącym.

— Musimy tego ducha odesłać w otchłań niebytu.

A gdy załamała ręce ruchem żałości dorzucił z głębokim bólem.

— Ciężkie są drogi tych, co ślubowali kapłaństwo Duchu!..

Teraz ona zerwała się i stojąc przed nim cała sploniona od odblasków płomienia, mówiła gorąco.

— Janie! czyż istotnie nie można służyć prawdzie, idei, ojczyźnie, a przecież żyć życiem szczęścia, stworzyć rodziny, dać życia dzieciom? ...czyż naprawdę — nie?...

On ujął jej ręce i położył sobie na oczach. Czuli, że z pod palców jej płyną jego łzy.

— Zaprawdę, drogi te nie schodzą się nigdy, kochanko moja!

* * *

Innym razem mówili o Polsce.

Jan opowiadał o ojcu swym, wygnańcu sybirskim, jak przy pomocy buddyjskiego kapłana udało mu się uciec z ziemi wygnania, jak udał się do Tybetu, a potem do Indji, by w świątyniach tamtejszych czerpać mądrość, której pragnął oddawna, jak zadziwiał mistrzów swoich przyrodzoną wiedzą ducha... Opowiadał, że tam zaślubił był wygnaniec, polski służebnicę świątynną, młodą, cichą wróżbitkę, która godząc się na małżeństwo z nim, przepowiedziała przyjęcie na świat syna i zgon swój. Tak się i stało. Jan nie znał matki.

— Czy chcesz, bym opowiedział ci, co na krótko przed zgonem mó-

wił ojciec o Polsce?... a gdy prosiła oczyma, ciągnął dalej.

— On utrzymywał, że Polska—to jakby rodzaj eksperymentalnej reorty Wielkiego Ducha Globów, że na tym tam skrawku ziemi, w żarach męki odbywa się szybsze, niż gdzieindziej, doskonalenie i wznoszenie się dusz. Cykl przemian dokonywa tam szybszego obrotu. Polska—mówił innym razem—to Krzyż, wzniesiony wysoko na europejskiej równinie, na podziw i na poruszenie sumienia ludzkości. Powiesz im kiedyś—mówił—by nie burzyli w bezrozumnym gniewie podstaw tego Krzyża, by Męczennikowi nie zdierali gwałtem cierniowej korony ze skroni...

— Mesjanizm polski w buddyjskim wydaniu! — rzekła Wanda z ironją. Wiesz, mam wrażenie, jakbym już teorię tę gdzieś słyszała, czy czytała, ale nie pamiętam gdzie... Nie potrzebuję ci mówić, jak dalece jest to przeciwne wszystkim, najgłębszym uczuciom i instynktom moim, jak oburza się we mnie każdy nerw, każda cząsteczka duszy...

— Wiem! Wiem! Ale... czy do prawdy, nie lękasz się chwili, gdy obalicie ten Krzyż, i ze świętego drzewa zbudujecie zwykły, ludzki, pełen gwaru, brudu i śmiecia dom?

— Chcę naród mój zdjąć z Krzyża! i takie jest prawo! po dniach męki nadchodzi przecież dzień trzeci: zmartwychwstanie!...

On spuścił głowę.

— Chcę życia, nie męki! nie nieustającego konania pod urągówiskiem gawiedzi! Twój ojciec mylił się. Nie męka budzi sumienia ludzi, ale cud zmartwychwstania! Chrystus podbił narody nie męką i śmiercią, ale tem, że ożył w chwale!...

— Czyż podbił?

Teraz ona spuściła głowę...

* * *

I chodzili w mgłę przedwieczorną po pustych alejach wielkomiejskich, pod gałęziami drzew, przyprószonych pierwszym śniegiem, że wyglądały jako widma z baśni. Płatki śniegu padały im na zamysłone czoła. Białe były jak kwiat jabłoni, ale zimne i bezwonne. Życie jednak stawało się znów

baśnią. Od serca do serca szły prądy miłosne... dusza mówiła z duszą.—

Chodzili, rozmawiając milczeniem i ciszą, a śnieg kładł się płatkami białymi na ziemi i drzewach i miłość ich osłaniał welonem niepokalanej bieli, tajemnicę przezczystych wzruszeń przenosząc w baśni tęskną, białą krajinę, krajinę muzyki echowych i bezbolesnego smutku.

Chodzili... myśląc...

* * *

—Chciałbym, żebyśr zuciła wszystkim to, co dotychczas było treścią i celem twego życia, żebyś wyjechała ze mną w słoneczne krainy wschodu i powierzyła się w zupełności memu kierownictwu.

Pragnę być tobie nauczycielem i mistrzem pierwszych wtajemniczeń... własnymi rękoma rozpowinąć z grubej osłony cielesnych zmysłów tajemniczy i ukochany kwiat twojej duszy.

Przewiduję, że będzie to radosne i łatwe zadanie. Zamieszkaż w klasztornej celi, wśród skał... z okna twego, niby z orlego gniazda, spoglądać będziesz na doliny bez kresu, zasłane mgłami... w noc gwiazdziste nie doleci cię żaden szmer ludzki, oddychać będziesz czystym powietrzem górnych szlaków... i tylko po skalistych zrębach ku oknu twemu pięć się będzie kwiat skalnej róży, ostatnie pozdrowienie ziemi.

W samotności i ciszy, przy zastosowaniu przepisanych ćwiczeń, dusza twoja, jak motyl z szarych osłon poczwarnego bytu, wyleci, skrzydłata...

Nauczę cię wydzielać duszy twojej treść ze związku materialnych i duchowych elementów, składających osobowość twoją. Czynić to będziesz siłą woli własnej i siłą woli przywoływać ją będziesz z powrotem.

Gdy wiedzę tę posiadziesz, przewyższysz mnie w jednej chwili, wiem o tem i wtedy już innych mistrzów będzie ci potrzeba. Nie lękaj się ich. Jak najczulsza matka czuć będą nad rozwojem twoich sił duchowych, wielkie, świetlane postacie, najpotężniejsze duchy ludzkie.

Mówił skupiony w sobie, surowy, inny zgoła, niż zazwyczaj. W obu dłoniach trzymał rękę jej szczupłą, zimną.

W pewnej chwili poczuł, że ręka ta drży.

— Nie lękaj się! Tam, gdzie pójdziemy, przerażeń pełno i niebezpieczeństw — puszcza cała! Ale ciebie one nie dosięgną. Jesteś pod tym względem szczególnie szczęśliwie obdarowana. Zresztą, poprowadzę cię drogą znaną i pewną... A teraz, mów, kochana! Późno już. Trzeba ująć znów kij pielgrzyma.

— Ja się nie boję... ale... ja nie mogę, Janie! nie! nie! nigdy!...

Z początku wahała się, potem zaczęła mówić mocno i gwałtownie.

— Ja mam wstręt do tych praktyk, któremi, jak powiadasz i jak słyssałam dawniej, ściągacie sztucznie wielkie dary Boże...

Dusza! Cóż dusza? Jeśli godna tego, jeśli dojrzała, jeśli mocna., wy-

leci, sama z całunu pogrzebów swoich, jeśli nie... nie trzeba jej wywoływać, nie trzeba budzić sił, które na sen skazała wyższa wola...

Jan patrzył na nią zdumiony...

— Praktyk?... — powtórzył z cicha — Nie, nie przypuszczam, byś potrzebowała praktyk długich i trudnych. Mówiłem o samotności... (c. d. n.)

Zaślubiny Marji Gonzagi, księżniczki Mantuańskiej z królem polskim Władysławem IV Wazą. R. P. 1645.

(Z pamiętników pani de Motteville, damy dworu i faworytki Anny Austrijczki, królowej francuskiej.)

Najprzód tedy ujrzelśmy kompanję straży pieszej, przybranej w barwy czerwona i żółta z wielkimi pętlcami złotniczego wyrobu na ubraniu. Dowodziło ją dwóch czy trzech oficerów na przepysznych rumakach. Strój ich składał się z kaftanów tureckich bardzo pięknych, mieli na nich wielkie płaszczki od długich rękawach, spadających od niechcienia na bok koński. Kaftany te zdobne były w guzy brylantowe, rubinowe, a płaszczki także, i tak samo jak kaftany podbite.

Za tą kompanją ukazała się druga w tym samym porządku. Dowodzili ją oficerowie jeszcze bogaciej od pierwszych przybrani. Kaftany ich i płaszczki były tej samej barwy co i liberja ich hajduków: zielonej i szarej jako len. Za tą szły dwie kompanje konne, przybrane jak pierwsze z których jedna była czerwona i żółta, a druga zielona i szara jako len, z tą różnicą, że materiały ich strojów były bogatsze, a konie miały piękniejsze rzędy, mieli też na sobie więcej drogich kamieni. Po nich szli nasi akademiści¹⁾, którzy dla uczczenia tych cudzoziemców, a sprawienia wstydu swojemu krajowi, wyszli na ich spotkanie. Wyglądali oni biednie przy tamtych, a ich konie także, mimo że byli pokryci wstęgami i piórami różnej barwy. Przy tej okazji moda francuska noszenia za całą ozdobę li tylko wstążek, wydała się mdła i śmieszna.

Za temi oddziałami szło wielu panów polskich, każdy ze swym poczem i świtą, przybrani w brokaty srebrne i złotolite. Materiały ich strojów są tak bogate, a barwy ich tak żywe, że niema nic na świecie miłszego dla oka. Na kaftanach ich lśniły się brylanty. Lecz mimo całą tę ich świetność, wyznać należy, że w przepychu

ich jest wiele dzikości²⁾: nie noszą oni bielizny, nie sypiają w prześcieradłach tak, jak inni Europejczycy, a tylko w skóry zwierzęce, okryte futrem się zawijają. Pod swemi futrzanemi czapami mają zupełnie wygolone głowy, a tylko na samym wierzchu zachowują czub włosów, które w tył odrzucają. Na ogół są odrażającej tuszy i są brudni we wszystkim, co się ich osób dotyczy. Każdy Polak miał przy sobie Francuza. Byli to panowie dworscy najlepszego pokroju, którzy wyszli na ich spotkanie.

Orszak ten zajmował dużą przestrzeń drogi, a przeto upiększał bardzo wjazd. Był między nimi jeden z głównych oficerów, który jako oznakę godności, miał trzy pióra kogucie na czapce, a ozdoby jego konia składały się z takich samych piór. Niektóre z ich wierzchowców były malowane na czerwono, i moda ta, cho-

²⁾ Ustęp ten z pamiętników p. de Motteville o dzikości ówczesnych Polaków sprzeciwia się nie tylko prawdziwej historycznej, ale i temu, co sama autorka mówiąc o nich zeznaje. Znane nam są obyczaje naszych przodków, wiemy, że się przedewszystkiem nigdy ablucji nie bali, każdy z nich porządkował się w zimnej wodzie bez dreszczów i strachu, a i mdłe białogłowy wrażliwsze od nich nie były i nigdy Polacy za brudnych nie uchodzili. Nie można natomiast powiedzieć tego o Francji, straszny brud dworu króla Słońca, Ludwika XIV-go znany był w kraju i za granicą, a przepisy higieniczne zakładu dla młodych panien w Saint-Cyr, przez panią de Maintenon redagowane, najodważniejszego mogą przypisać o dreszcze przerażenia, dość powiedzieć, że kąpiel była obowiązującą raz na rok, a skoro się zdarzyło, że która z tych panienek była cierpiąca, kąpiel jej odkładała się na rok następny w tej samej oznaczonej porze. Nie wyliczamy tu również zastraszających szczegółów co do innych ablucji, zmiany pościeli i bieleziny. Brud rozmaitych innych zakładów, szkół męskich i żeńskich, klasztorów i t. p. przyczyniał się do wielu chorób i szerzenia zarazy. Brud ten ogólny we Francji owej epoki przywędrował tu z Włoch wraz z renesansem. Francuzi wieków średnich byli bardzo czysti. Codziennie rano obchodził ulicę t. zw. krzykacz (crieur) obwieszczając mieszkańcom miasta, że w łaźniach publicznych woda już gorąca.

Wiemy również, w jakie nieprzebrane zapasy bielizny i pościeli był zaopatrzony naj-

cięż dziwaczna, nie wydała się przykrą. Palatyn i Biskup Warmiński byli ostatni. Towarzyszyli im książę d'Elbeuf i książę d'Harcourt, syn jego. Palatyn był piękny na twarzy, miał ładną płeć i oczy czarne, był dobrej postawy, miał brodę trochę za długą i za gęstą. Biskup też przedstawiał się dobrze, i nie różnił się niczem od naszych, nawet wygoloną głową. Za nimi szły ich karocy, okryte kutem srebrem wszędzie, gdzie nasze mają żelazo. Konie, które je ciągnęły, były piękne i tęgie i nie wydawały się wcale pomęczone podróżą. Słowem wszystko, co się widziało, godnem było występować w popisie. Przeszli oni całe miasto w ten sposób, ludność zalegała ulice, a osoby z towarzysztwa okna. Król i królowa wyszli na balkon, wychodzący na plac Królewski, aby ich zobaczyć, ale nie znaleźli tej przyjemności, gdyż było za późno, kiedy orszak tamtędy przecho-

skromniejszy dom szlachcica polskiego — że przodkowie nasi nigdy zwyczajem Eskimosów w workach futrzanych nie sypiali — chyba w podróży, czy na wyprawie wojennej. Nigdy także głowy, acz „podgolone“ Polaków nie przypominały chińskiej kuafiury, dość spojrzeć, aby się co do tego upewnić, na dawne portrety i grawiury. Nareszcie Polska XVII-go wieku była jednym z najbardziej kulturalnych krajów, i pod wielu względami wyprzedzała inne kraje ówczesnej Europy. Obok gruntownej kultury nie brakło jej ani poloru, ani elegancji i manier, p. de Motteville samo to stwierdza zeznając, że panowie polscy niczem się od francuskich nie odróżniali i że trudno ich było wziąć za cudzoziemców, a przecież już w tych czasach dwór francuski był uważany za nadający ton, co do pięknych manier. To co p. Motteville nazywa dzikością — było tylko odrębnością, którą dotąd każdy kraj, każdy naród, jakkolwiek w o wiele słabszym stopniu, zachował i która jest tak samo wynikiem odmiennych warunków bytu, w których wzrastał i kształtował się w sposób sobie właściwy, jest także jego wyrazem i urokiem.

Dodać tu należy, że zwyczaj noszenia koszuli ustalił się we Francji dopiero od XVI wieku, przedtem koszula była uważana za zbytek, robiono z niej prezenty, w XV wieku jeszcze cytowany jest przykład, że na całą Francję jedna królowa Marja, księżniczka d'Anjou, żona Karola VII-go miała dwie koszule. — (Przyp. tłumaczkii).

¹⁾ Młodzi ludzie, uprawiający się w sztuce konnej jazdy w specjalnych maneżach. Była to prawie bez wyjątku młodzież najpierwszych domów francuskich.

dził. Zaprowadzono ich do Pałacu Vendôme, pustego z powodu wygnania ich panów, i król tam ich podejmował zawsze bardzo wspólnie.

Cudzoziemcy ci zostali przyjęci przez królową w wielkiej galerji pałacu królewskiego. Część tej galerji oddzielono od reszty amfiteatrem, u którego stóp zajęła miejsce królowa. Księżne, które tworzyły półkole,

i wszystkie inne panie stały za nią. Zamyśliwano odprawić ten ślub ze wszystkimi ceremonjami, przynależnymi w podobnych okolicznościach, aby wykazać wielkość Francji przed tym dzikim narodem, ale jako że godności nie są tu określone, a każdy książę chce iść przed innymi, zatrzymano się na tej trudności, której nie podobna było obalić mimo wszystkie projekty, które zostały podane w celu

uniknięcia skutków, któreby wywołała. Ze wszech stron podniosło się wielkie szemranie i tyle dawnych waśni się odnowiło, że królowa uznała za odpowiednie stłumić możliwe ich następstwa, obchodząc tę uroczystość prywatnie. Zaczęto od Mademoiselle, by wykluczyć wszystkich innych, tak, że nigdy wesele nie było tak samotne, jakkolwiek odbyło się z berłem i pod purpurą. (c. d. n.)

26)

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE“

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 1826)

Dyplomata dał za wygraną i przypomniał sobie, że ma iść na bal. Pożegnał się z hrabią uprzejmie, mówiąc, że gdyby twarda szkoła więzienia zmieniła kiedyś jego zapatrywania, to może wezwać jeszcze ze Spielberga osobę zaufaną do udzielania jej zwierzeń. Do swego pana napisał jednak nazajutrz: „Podług wrażenia, jakie zrobił na mnie osobiście hrabia Confalonieri, sądzę, że on nigdy nic nie wyzna“.

Tak się skończył słynny dialog, który historyk włoski przyrównywa, toutes proportions gardées, do Eschyłowskiej tragicznej wymiany słów Prometeusza skowanego z Merkurym.

Wysłannik wiedeńskiego Jowisza rozstał się nie bez pewnego szacunku i współczucia ze skazańcem, który „ani słowem o własnym nie wspominał losie i o nic nie prosił“. Komisarz, który odstawił Confaloniego do Spielbergu, powiedział, zegnając się, że kanclerz polecił udzielić więźniowi pozwolenia napisania listu do żony i przesłania go przez jego ręce, ale dyrektor więzienia przeciwstawił łasce książęcej wyraźne dekrety cesarskie. Pani Teresa listu nie dostała.

VIII.

„Spokojny, zrezygnowany w duszy, nie pragnę niczego więcej, jak spoczynku dla ciała i upewnienia, że moja miła jest zdrowa i spokojna i — o ile to być może, pocieszona“, pisał Federigo w owym liście w Villach, który nie doszedł. Skolatanemu podróżą wydawał się Spielberg „przystanią“. „Tam zastanę przynajmniej listy Twoje i ciszę, tak bardzo mi potrzebną fizycznie i moralnie“.

Jakże się ludził biedny człowiek! było to tak, jak gdyby kto chciał położyć znużoną głowę na twardem boidaj wezglowiu, a znalazł deskę, nabita gwoździemi.

Pani Teresarównież z początku miała złudzenia i pisała list po

liście: „Jakkolwiek nie wiem, czy dostajesz moje listy“...

„Jakkolwiek nie mogę się dowiedzieć, czy wolno ci napisać do mnie...“

„Jakkolwiek nie mam wiadomości od ciebie od 16-go lutego... (małej kartki napisanej z drogi).“

„Spodziewam się, że ci lektury nie wzbronią“... pisze, przygotowuje, jak w Medjolanie, paki książek i dzienników, ma nadzieję, że gubernator Moraw i Łaska: hr. Mitrowski, człowiek ponoć szlachetny i kulturalny, nie odmówi nieszczęśliwym małżonkom tej jedynej pociechy, dostępnej w ich niedoli, aby mogli choć piśmiennie rozmawiać ze sobą“.

„Napisz najdrobniejsze szczegóły o swem zdrowiu. Znając Twą czułość dla mnie, wiem, że jeśli możesz, uczynisz zadość memu gorącemu pragnieniu. Wszystko, co mogłam ci napisać, będzie poniżej tego, co czuję, ale Ty umiesz czytać w mojem sercu“.

„Mój najdroższy, nie ma chwili, abym nie była Ci bliska myślą, tęsknotą, chcę być naprawdę przy Tobie i wierzę, że tak wielka łaska będzie mi udzielona. Wtedy całe moje życie będzie poświęcone jednemu celowi: pielęgnowaniu Twego zdrowia i ulżeniu Twoim cierpieniom“.

Niema odpowiedzi. Teresa błaga hr. Mitrowskiego: niech raczy pozwolić jej mężowi na doniesienie choć słowem o sobie. Jest bardzo niespokojna o jego zdrowie, „zważywszy opłakany stan tegoż, gdy wyjeżdżał z Medjolanu“.

„Śmiem spodziewać się, panie hrabio, że wybaczy Pan tę śmiałość kobiecie, przytłoczonej ogromem nieszczęścia“.

Gubernator milczy.

Teresa podaje prośbę do wicekróla Lombardji, arcyksięcia Rainera, ażeby dano jej osiedlić się w Bernie, gdyż „pragnie uzyskać możliwość widywania czasami męża, a jeśliby to było niepodobnem, chce mieć przynaj-

mniej pociechę przebywania w jego pobliżu“.

Wice-król odsyła suplikę gubernatorowi Medjolanu do zaopiniowania, ten radzi się dyrektora policji i obaj orzekają, że niepodobna prośbę uwzględnić.

„Niema prawa, zabraniającego żonie skazańca zamieszkania w pobliżu więzienia męża, ale tu jest wyjątek“.

„Pobyty w Bernie powiększyłyby tylko boleść hrabiny. Przypuściwszy nawet, że cesarz raczyłby jej pozwolić na zobaczenie niekiedy męża, to widok warunków, w jakich on się znajduje i złego stanu jego zdrowia, musiałby ją głęboko wstrząsnąć. Goryczy swej dawałaby wylew w listach do krewnych i znajomych, które podsycałyby żal i zmieniały w nieustające współczucie to zapomnienie, w jakie już pogrąża się imię Confaloniego“.

Sprawa oparła się o samego cesarza, który rozstrzygnął ją kategoryczną odmową:

„Confalonieri, jako skazany na więzienie 2-go stopnia, nie może rozmawiać z nikim, oprócz osób, przydzielonych do bezpośredniej jego straży. Hrabinę musiałoby się poddać ścisłemu nadzorowi, by przeskodzić jakimkolwiek bądź próbom tajemnego porozumienia się z mężem. Tak, że z pobytu w Bernie odniosłaby same przykre wrażenia“.

Obiecał za to, że gubernator Moraw co trzy miesiące udzielać jej będzie informacji o zdrowiu więźnia.

Obietnica kłamliwa, gdyż poza ogólnikową wiadomością, przesłaną dopiero 2-go września, że „mąż ma się dość dobrze“, pani Teresa przez rok, cały ani słowa nie otrzymała.

„Dotąd jestem bez wieści od naszych dzieci — pisze do Pauliny — i nie mam nadziei otrzymać ich tak prędko. Takie są rozkazy okrutnego kardynała“. (według umówionego klucza: cesarza).

(c. d. n.)

K. Bielańska

14) CEL I ZADANIA PEDOLOGII

Innem, bodaj częstszym jeszcze, podłożem fałszywych zeznań i twierdzeń dziecięcych jest, jak już zaznaczyliśmy, bujność wyobraźni dziecięcej, ujawniająca się przedewszystkiem w zabawie. Ażeby należycie brać czynnik ten pod uwagę, znać należy dobrze psychologię dziecka. Dla człowieka dorosłego istnieje jedna tylko rzeczywistość, mająca znaczenie i wartość prawdy. Wszystko w niej jest logicznie powiązane i przyczynowo wszystko, co wychodzi poza ramy tej rzeczywistości i w nich się nie mieści, jest dla dorosłego ułudą, pozorem albo świadomym fałszem.

Zupełnie inaczej dzieje się z dzieckiem. W mózgu dziecięcym wszystko jest jeszcze nieustalone, płynne, pozabawione ścisłych, ostro zaznaczonych granic. Rzeczywistość i fantazja płaczą się i zlewają nieustannie i małe dziecko zupełnie nie jest w stanie oddzielić jednej od drugiej. Jeśli więc zdawać ma ono sprawę z jakiegoś faktu realnego, ubarwia je nieświadomie najdziksze obrazy fantazji i w ten sposób „kłamstwo” gotowe.

Z życia małego Skupinka przytaczają rodzice charakterystyczny fakt następujący: Niespełna 3-letni (33 miesiące) malec lubił wyciągać klucze z zamków. Pewnego dnia, na zapytanie, kto wyjął brakujący znów klucz, odpowiedział na razie: „Miniol” (tak mówił zawsze, ilekroć zginęła mu jakaś zabawka), potem jednak pomyślał przez chwilę i oświadczył tonem stanowczym: „Ciotka Ania ziała tu klucz i leciała na śjody (schody)” — Jak dalece dziecko nie miało wcale zamiaru kłamać, aby zwalić własną winę na kogo innego, świadczy fakt, że tym razem sprawczynią wyjęcia klucza była służąca. Jakże łatwo można w podobnym wypadku — zwłaszcza o ile nie wyszłaby na jaw zupełnie niewinność dziecka — pomówić je o celowe kłamstwo.

Najlepszy to dowód, jak dalece odróżnić należy świadomie fałszywe zeznawanie, mające na celu wprowadzenie w błąd otoczenia, od nieumiejętności małego dziecka odróżniania faktów rzeczywistych od obrazów własnej fantazji.

Fantastyczne opowiadania dziecięce miewają też często źródło w przyjmowaniu, po obudzeniu się ze snu, widzeń sennych za rzeczywistość. Znany filozof, Erhard, mówi w pamiętniku swoim, że do 4-go roku życia bardzo często brał wspomnienia snów za pamięć faktów rzeczywistych i że często żywo na ten temat spierał się z rodzicami, utrzymując np. z całą stanowczością, że pewne osoby, o których tylko śniło mu się, że odwiedziły ich dom, przychodziły naprawdę.

Znany jest zresztą i stwierdzony fakt, że rozbudzone, obdarzone żywą wyobraźnią, dzieci nie umieją nic

opowiadać bez upiększania i wyolbrzymiania. Zdawać mogłoby się, że im samym sprawia to szczególną przyjemność i pobudza do brnięcia dalej w tym kierunku. „Zabiłem trzydziestu żołnierzy, pięćdziesięciu, stu, tysiąc...” Poniękad odgrywa tu również rolę chęć zwrócenia na siebie uwagi, wzbudzenia podziwu. Tak np. opowiada Darwin w autobiografii swojej, że pewnego dnia zerwał w ogrodzie z drzew dużą ilość przednich owoców, które schował, poczem pobiegł pędem do domu, aby oznajmić, że odkrył kryjówkę skradzionych owoców.

Widzimy już tutaj, jak łatwo może fantazja dziecka przybrać formy niepokojące i tem samym wymagające w istocie czynnej interwencji wychowawcy Zachodzi teraz ważne pytanie, w jakim kierunku iść ma ta interwencja, bowiem, podobnie jak w terapii medycznej, tak samo i w pedagogice, pierwszym przykazaniem winno być: *primum non nocere!* — przede wszystkim nie szkodzić!

Przyjmując nawet przytoczone ostatnio przejawy za psychologicznie wytlomaczone, zatem nie nastroczające szczególnych obaw ze względu na dalszy rozwój etyczny dziecka, nie można jednak przejść nad nimi obojętnie. Już od 5-go roku życia — powiada niewątpliwa w tym względzie powaga, dr. J. Prüfer — to znaczy w wieku, kiedy dziecko zaczyna odróżniać fantazję od rzeczywistości, winien wychowawca zastosować — wobec wyraźnej tendencji dziecka do zmyślenia — rodzaj czujnej taktyki powstrzymującej. Przedewszystkiem unikać należy wystawiania dziecka, skłonного do fantazjowania, na pokaz, pozwalania, aby jego bujna imaginację podziwiali krewni i znajomi, wobec których dziecko popisuje się zmyślonemi opowiadaniem, gdy rodzice, dumni z tego, bodaj skłonni są upatrywać w malcu przebłyński talentu poetyckiego.

Trudniejsze wszakże, czynne już zadanie przypada wychowawcom dziecka, z chwilą kiedy od pozornych tych kłamstw przechodzi ono do świadomego już i celowego fałszowania, albo ukrywania prawdy.

Zrazu szuka tylko dziecko w kłamstwie obrony. Jest to naturalnym poniekąd przejawem instynktu samozachowawczego, chęcią uniknięcia czegoś stryckiego, czegoś, zagrażającego jego stronie fizycznej. Środkami tej obrony, której szukanie zdradza już

dziecko w najwcześniejszym okresie swojego życia, są: gestykulacja, mimika i mowa. Najpóźniej występuje mowa, która nadto w pierwszych stadiach niedokładnie jeszcze obrazuje właściwy kierunek myśli dziecka. Często dziecięce krótkie: „nie” jest nietyle zaprzeczeniem, ile reakcją na jakiś niemiły, z zewnątrz idący bodziec rodzajem naturalnego oddźwięku na groźbę niebezpieczeństwa. Jest to już wszakże wskazówką, że gest, grożący ze strony wychowawców, może u nieco większych dzieci łatwo wywołać odruch w postaci świadomego już kłamstwa.

Bardzo wymowny i pouczający dla wychowawców przykład tego rodzaju, z życia 3-letniego synka swojego, przytacza Skupin: „Chłopiec przyniósł pewnego razu kawałek sztuka-terji i opowiedział rodzicom z minką nawpół urwisowską i nawpół zawstydzoną, że oderwał ten kawałek z balkonu. Spostrzegłszy wszakże w twarzach ojca i matki wyraz surowy, poprawił się natychmiast, dodając: „Nie, nie, taśek (ptaszek) odziobał” — „Żywy przykład kłamstwa, wywołanego obawą kary” — słusznie zaznacza autor. — Oczywiście nie pozostało nic innego jak rozpogodzić odrazu twarz ze względu na to, że dziecko chciało przecież pierwotnie samo szczerze wyznać popełnioną winę i dopiero surowe twarze rodziców i związana z tem groźba kary pobudziły je do schronienia się za parawanem kłamstwa. Powiedziano mu więc z uśmiechem, aby wskazał uszkodzone miejsce i zapytano tonem, wyraźnie już żartobliwym, jak się nazywa ten psotny ptaszek. Malec przyjrzał się przez chwilę uważnie ojcu i matce, jak gdyby chcąc zbadać ich zamiary, nie znalazłszy w nich jednak nic groźnego, oznajmił wyraźnie zawstydzony: „Ziobił (zrobił) Bobi” (tak nazywano chłopca).

Źródło i bezpośredni powód kłamstwa są tu widoczne. Zrazu szczerą spowiedź, potem, z powodu obawy kary, czysto instyktowny odruch obrony, wyrażający się w kłamstwie, i wreszcie — wobec usunięcia obawy — zbyteczność bronięcia się i dzięki temu powrót do prawdy. Często jednak ten trzeci moment nie występuje: po części z obawy przed surowością wychowawców, po części zaś z powodu rozwiniętego już poczucia wstydu, nie pozwalającego na przyznanie się do popełnionego kłamstwa. Często też nie dochodzi wcale i do pierwszego momentu spontanicznej, szczerzej spowiedzi u tych zwłaszcza dzieci, które przechodziły już parokrotnie przez bolesne doświadczenie, spowodowane reakcją, jaką, odpowiedzieli wychowawcy na dziecięcą szczerłość.





KOBIETA GUBERNATOREM

Wielkie wrażenie wywołała w Ameryce nominacja pani Ferguson na gubernatora jednego ze Stanów Zjednoczonych, Teksas. Prasa poświęca temu faktowi cały szereg artykułów, w szczególności zaś pisma kobiece, wyrażające radość z powodu tego nowego, a tak znacznego, zwycięstwa w dziedzinie równouprawnienia.

Interesujące są przytem okoliczności, w jakich pani Ferguson otrzymała owo stanowisko. Poprzednikiem jej był jej własny mąż, usunięty następnie wskutek zatargu z potężnym Klubem Ku Klux Klan'u, tajnej organizacji politycznej, mającej bardzo duże wpływy w Ameryce. Gubernator Ferguson uznany został, staraniem swych wrogów, za niezdatnego do sprawowania urzędów państwowych, nie mógł więc kandydować ponownie na zajmowane poprzednio stanowisko. Zamiast niego jednak dalszą walkę w myśl jego ideałów podjęła jego żona i zwalczając silną opozycję Ku Klux Klanu, wysuwającego jako kontrkandydata sędziego Robertsona, uzyskała nominację na gubernatora.

Jeszcze za urzędowania swego męża wykazywała pani Ferguson duże zainteresowanie sprawami administracyjnymi i socjalnymi, pracując w tej dziedzinie jako gorliwa jego pomocnica. Po konflikcie jego z Ku Klux Klanem, wynikłym na tle szkolnictwa (gubernator Ferguson występował jako obrońca interesów szkolnictwa elementarnego przeciwko zakazom przeciwników, zmierzających do ograniczenia budżetu szkół powszechnych na korzyść zakładów wyższych, specjalnych) — Pani Ferguson ogłosiła w pismach protest przeciwko niesprawiedliwemu wyrokowi, rzucającemu plamę na dobre imię i honor jej męża, i postawiła swą kandydaturę jako jego zastępczyni do chwili, aż przywrócone mu będą niesłusznie odebrane prawa.

Ten protest kobiety, ujmującej się za sponiewieraną godnością męża i pragnącej prowadzić dalej jego pracę, wywołał niezwykle silne wrażenie. Przy głosowaniu powszechnym okazało się, że na nazwisko pani Ferguson padło o 80.000 głosów więcej, niż na listy innych kandydatów!

Rząd potwierdził rezultat wyborów i pani Ferguson została pierwszą kobietą-gubernatorem w Stanach Zjednoczonych. Obejmując to stanowisko,

zapowiedziała ona odrazu, iż w sprawach administracyjnych kierować się będzie wskazówkami i radą swego męża, w społecznych jednak kwestiach prowadzić będzie swoją własną politykę. Pragnieniem jej jest wprowadzić cały szereg reform, dotyczących się polepszenia losu kobiet, dzieci, zreformowanie więziennictwa i t. d.

DŁUGIE NARZECZEŃSTWO ŚRODKIEM PRZECIWIROZWODOWYM?

Liczba rozwodów w Anglii zmniejszyła się dość znacznie w przeciągu ostatnich dwóch lat. Zjawisko to przypisują, pomiędzy innymi, powrotowi do normalnych warunków przedwojennych, a przede wszystkim — do ogólnego w Anglii zwyczaju dłuższego narzeczeństwa. Wojna, powołująca tysiące młodzieży na front, pociągała za sobą w wielu wypadkach zawieranie małżeństwa w tempie bardzo przyspieszonym, podczas krótkich urlopów, nieraz zaledwie po kilku, kilkunastu dniach znajomości. Małżeństwa takie przeważnie kończyły się rozwodami. Obecnie wraca „moda“ dłuższych narzeczeństw, a z nią razem i możliwość lepszego poznania się młodej pary przed ślubem, wypróbowania i dopasowania wzajemnego swych charakterów i usposobień, co wszystko stanowi pewną gwarancję przeciwko pladze rozwodowej.

Z. B.

WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIET

KILKA UWAG O LEKKIEJ ATLETYCE DLA KOBIET.

W poprzedniej swej pogawędce mówiłam o tem, że żaden ze sportów nie wytwarza typu człowieka bardziej harmonijnego, wszechstronnie rozwiniętego, niż lekka atletyka, że sport ten jest piękny przez to, że doskonali, doprowadza do perfekcji najnaturalniejsze, najbardziej podstawowe ruchy człowieka, ruchy których w stanie pierwotnym, gdzieś w dżungli mały człowiek od pierwszej chwili, gdy mógł się utrzymać na własnych nogach, musiał się uczyć, chcąc się obronić ucieczką przed napastnikiem, czy zdobyć sobie pożywienie, ruchy, które każde chłopskie dziecko wykonuje codziennie po wielokroć czy to goniąc za uciekającym w szkodę bydłem, czy zbijając celnym rzutem owoc z drzewa, czy przesadzając rów lub płot skokiem.

My kobiety dziś już szczęśliwie na niskich obcasach i bez gorsetów, ale za to w sukniach raz tak wąskich, że trudno czasem wysiąść z tramwaju, to znów długich po kostki, nie

mamy wprost sposobności i możliwości biegać lub skakać, a rzucamy chyba papiery do kosza lub kwiat na scenę. Ruchy nasze są naogół skrępowane, ciężkie, siła mięśni, jeżeli jest, to ukryta, uspiona, zdolności w kierunku sportu niewykorzystane, nierozwinięte.

Do lekkiej atletyki okropnie nam daleko. Kto od wczesnej młodości do ruchów tych nie przywykł, kto się nie gimnastykował, temu trudno bardzo nauczyć się ich w wieku dojrzałym.

Mówmy więc o dziewczętach. A więc dziewczynka, której od dzieciństwa wolno było dużo biegać, skakać, która gimnastykuje się w szkole, gra w piłkę i t. p. ma w rezultacie zdrowe serce i płuca, jest silnie zbudowana i zręczna; każda taka od jakiego szesnastego roku życia może zacząć uprawiać jako sport lekką atletykę, może z pożytkiem dla zdrowia dążyć do wyczynów sportowych.

Na to by skakać czy biegać rekordowo, trzeba już naturalnie specjalnych warunków zewnętrznych, a nawet i moralnych. Trudno określić, na czym one polegają; naturalnie odpowiednia budowa, a więc lekkie ciało przy wysmukłych nogach, a przy tem duża w stosunku do nogi siła są najpewniejszą gwarancją szybkiego biegu czy dużego skoku, często jednak widzi się ludzi niewielkich, o nogach niezbyt długich, ale obdarzonych jakąś taką zręcznością, taką siłą wewnętrzną, nie dającą się wprost podejrzewać na oko, że znakomicie dorównują tamtym, pozornie bardziej uposażonym przez naturę.

Praktykowane przez panie i najodpowiedniejsze dla nich ćwiczenia lekko-atletyczne, to bieg krótki (60m), biegi rozstawne, bieg z płótkami, skoki w zwyz i w dal, rzut dyskiem, oszczepem lub kulą.

Przy biegu krótkim gdzie nie potrzeba tyle wytrwałości, a niezbędnem jest cały czas utrzymanie jaknajwyższej szybkości, nie stracenie ani ułamka sekundy, ważną niesłychanie rzeczą jest wybieg czyli start.

Wybieg ten robi się z pozycji kłęczącej z rękoma opartymi o ziemię. Ma on na celu jaknajenergiczniejsze wypchnięcie ciała naprzód bez zachwiania jednak równowagi. Bez wyćwiczenia się w startowaniu, nie może być mowy o rezultatach szczególnie w biegach krótkich. Do podstawy wyprostowanej biegacz przechodzi dopiero po jakich dwudziestu metrach.

Biegać należy stawiając stopy równolegle, prawie po jednej linii, by nie tracić na odległości przez kroki ukośne. Kolana unosić wysoko w przód, nie zginając nogi pod siebie, jak się to często widuje u dzieci, ruchowi nóg towarzyszy równoczesny swobodny ruch przeciwnej ręki zgiętej w łokciu.

Stawać należy na palcach, stawianie całej stopy męczy nogę i wstrząsa bardziej całe ciało.



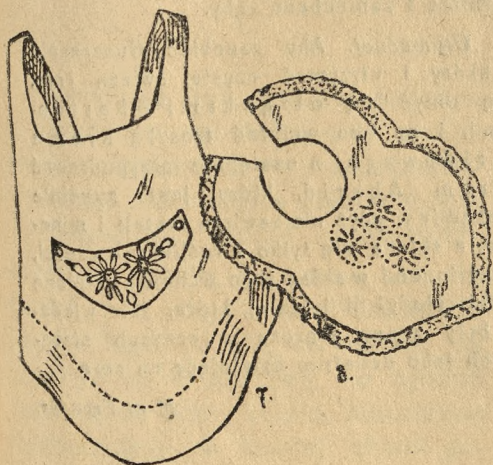
FARTUSZKI

Jesienna pora każe mi mówić o niezbędnym dopełnieniu ubrania dziecinnego, o fartuszku. W lecie sukienki tanie, lekkie, łatwo brudzące się, ale i łatwe do prania, nie wymagają ochrania, koniecznego przy kosztowniejszych, zimowych sukienkach i ubrankach. Sukienkę letnią codziennie, a nawet i dwa

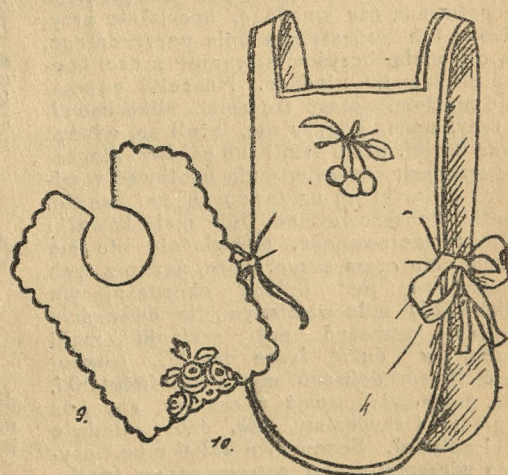
prostu szarego płótna. Fason prosty, zapinany z tyłu na skrzyżowane szelki (rys. 3 i 7), a z przodu kieszeń, wyszyta w jakiś deseń, lub obrazek, budzący w dziecku zainteresowanie. Kieszeń powinna być duża, głęboka, dobra do gromadzenia w niej drogiego dziecku przedmiotów, patyczków, papierków, kamyków i t. p. skarbów. Wypustki kolorowe ładnie wykończają taki fartuszek. (rys. 4).

Miłym i efektownym wykończeniem fartuszków są wszelkie wyszycia i hafty.

Mogą być wykonane najłatwiejszymi ścięgami, poprostu ścięciem pocztowym, bawełną, naturalnie odpowiednią do prania. Ale kolory powinny być ładnie dobrane, a de-



Dla dziewczynek ta część ubrania bardziej jest skomplikowana i daje pole do różnych pomysłów i użytkowania wszystkich resztek batystów, haftów i wstążeczek. Fartuszki w formie ornacików (rys. 5), z boku wiązane na wstążkę, lub z karczkiem odciętym, a dalej luźno puszczone (rys. 6) bardzo są ładne i praktyczne dla małych dziewczynek. Ślicznie też wygląda fartuszek, zrobiony z dwóch odrębnych materiałów, np. góra piaskowa, a dół układany w drobne fałdki z granatowego i piaskowego materiału. Oblamowanie granatowe (rys. 2). Fartuszki zapinane na szelki (rys. 1 i 6) odpowiednie są dla dziewczynek starszych. Do nauki, zwłaszcza początkowej, praktyczne są ciemne, w formie luźnej bluzy, z rękawkami długimi, spiętymi na guziczek przy rękę.



raz dziennie zmienić dziecku można — ciepła, włóczkowa albo wełniana musi być pieczołowicie ochrania. Do tego służy fartuszek. Przeróżne jego formy, kolory, wyszycia, stanowią miłe dopełnienie ubrania dziecinnego, nadające mu cechę staranności i świeżości.

Fartuszki dziewczynek różnią się i krojem i rodzajem materiału od fartuszków chłopczyka. Dla chłopca używa się przeważnie materiałów grubszych, ciemniejszych, albo po-

Pomysłowość i fantazja młodej matki największe mają ujście w ubraniu dziewczynki małej. W domu, gdzie są dzieci, wszystko chować należy, bo przynajmniej do lat sześciu można je ubierać w przerabianą, nieużyteczną już dla starszych garderobę, a już fartuszek z byle kawałków i resztek zrobić można.

señ zrozumiały dla dziecka i budzący w niem zaniepokojenie. Jak bardzo lubianym przez nie będzie taki fartuszek, ozdobiony jakąś scenką z życia, lub rysunkiem, na który zawsze z zainteresowaniem patrzeć będzie.

Aby ułatwić to zadanie naszym Czytelnikom, dodajemy do dzisiejszego numeru arkusz wzorów, zawierający szereg deseni, odpowiednich do wyszycia najprostszymi ścięgami na fartuszkach i sukienkach dziecinnych,

